CENA 50 GR.

9-III-1935 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

WARSZAWA ✱ SOBOTA ✱ 9 MARCA 1935 ROKU ✱ ROK TRZECI ✱ NUMER 10 (75)

TREŚĆ:

USPOŁECZNIENIE A PEŁNIA ŻYCIA*

Słowo: uspołecznienie może mieć dwa znaczenia. W pierwszem oznacza ono poprostu rozwój instynktu i umiejętności współżycia i współpracy jednostki z otaczającymi ją ludzmi, — w drugiem znaczeniu jest to podporządkowanie się jednostki społeczeństwu, rozumianemu jako nadrzędna całość, — i reprezentowanemu przez Państwo. W niniejszym artykule słowo to będzie używane przedewszystkiem w tem właśnie ostatniem znaczeniu. — Tyle koniecznych zastrzeżeń przed przystąpieniem do właściwego toku rozważań.

*

Pierwsze twierdzenie: dążenie do pełni życia — oto istotny motor postępowania ludzkiego; tylko idee, realizujące ten warunek, mają szanse rozwoju. To jest punkt wyjścia.

Drugie twierdzenie: uspołecznienie życia jednostki zwiększa zakres jej przeżyć, daje jej pełnię życia, — dalszy więc rozwój psychiki człowieka ma wyznaczony kierunek — uspołecznienie. Twierdzenia tego nie kwestjonuję.

Wnioski jednak dalsze, wysnuwane zeń przez gorliwych wyznawców uspołecznienia, są już stanowczo błędne, zbyt daleko idące i niebezpieczne. Twierdzą oni mniejwięcej tak: zainteresowanie jednostki życiem osobistem i węższym kręgiem otaczającej ją rzeczywistości — jest sprzeczne z duchem uspołecznienia, przeszkadza dalszemu rozwojowi ludzkości, winno więc być prześladowane i do szczętu wykorzenione. Uspołecznienie jest to więc jakby nowe królestwo boże, dla którego każdy winien się wyrzec wszystkiego co ziemskie t. j. osobiste, czy poprostu bliższe. Jednostka ma bez reszty oddać swoje myśli, uczucia i siły na usługi społeczeństwa. Znamy te hasła. Brzmią one naokoło nas i wśród nas. Są realizowane. Są groźne. Przyjrzyjmy się jaka jest trwałość ich podstaw z punktu widzenia wysuniętej tu zasadniczej tezy — pełni życia.

Co to jest pełnia życia? To obfitość bogatych i mocnych doznań i możność silnych i skutecznych reakcyj wobec nich.

Ilość wrażeń dostarczanych nam przez życie wzrasta z dnia na dzień w szybkiem tempie wskutek ciągłych zdobyczy cywilizacyjnych; — uspołecznienie doda niewątpliwie nowy poważny impuls w tym kierunku. Ale jak jest z napięciem odczuwania tych wrażeń i jak z możnością skutecznych reakcyj wobec nich, będącą, — chyba każdy to przyzna, — warunkiem *sine qua non* wszelkiej męskiej radości życia? Tu jest nieco gorzej. Powszechnie mówi się o spadku wrażliwości w miarę wzrostu ilości wrażeń, łącząc te dwa zjawiska stosunkiem odwrotnie proporcjonalnym i tłumacząc je t. zw. popularnie zblazowaniem. To tłumaczenie jest częściowo słuszne, ale stanowczo niewystarczające. Sytuacja jest poważniejsza; wydaje się bowiem, że spadek wrażliwości zależny jest wprost od procesu organizowania się społeczeństwa, i jest z nim nierozerwalnie złączony.

Czem jest w istocie ten proces organizowania, jeśli nie stopniowem zastępowaniem bezpośrednich stosunków między ludźmi, opartych na uczuciach sympatji i interesu — stosunkami pośredniemi, polegającemi na podziale pracy a opartemi na poczuciu obowiązku i prawa?

Przykład: — Pożar dawniej. Ci, którzy bezpośrednio widzą ogień, powodowani współczuciem czy ofiarnością, biegną na pomoc, pomagają, bronią. Sprawność ich jest mała, ale siła doznawanych wrażeń duża, wdzięczność zaś ratowanych wobec nich jest zjawiskiem zwykłem i zrozumiałem.

A teraz pożar dziś: — Ludzie nie widzący ognia i nie słyszący o nim złożyli podatki na straż ogniową. Strażacy, urzędnicy, którym za to płacą i których poszkodowany nic nie obchodzi, biegną na pomoc, pomagają, bronią. Sprawność ich jest zadziwiająca, ale siła doznawanych wrażeń mała, obojętność zaś ratowanych wobec nich jest zjawiskiem zwykłem i zrozumiałem.

Przykładów takich możnaby przytoczyć wiele. Każdy niemal krok w organizowaniu się nowoczesnego społeczeństwa połączony był ze stopniowym zanikiem bezpośredniości w stosunkach między człowiekiem a człowiekiem i między człowiekiem a wytworem jego pracy. Działo się to zawsze z wyraźną jego korzyścią i z niemniej wyraźnym ubytkiem elementu wzruszeniowego. Żebrak utrzymywany bezpośrednio przez swego dobroczyńcę — i żebrak utrzymywany przez gminę z ofiar nieznanych mu obywateli; rzemieślnik pracujący od początku do końca nad swojem dziełem i robotnik w dobrze zorganizowanej fabryce, który nie potrzebuje nawet wiedzieć, do czego służą jego możliwie zautomatyzowane poruszenia. Czyż w każdym z tych przykładów napięcie odczuwania nie musiało osłabnąć jednocześnie z zanikiem bezpośredniości?

Ale to tylko jedna z konsekwencyj wielkiego problemu zaniku bezpośredniości i bodaj nienajważniejsza. Drugą jest — utrata możności skutecznych reakcyj wobec doznawanych wrażeń, wrażeń o charakterze społecznym. Konsekwencja ta związana jest już ściśle tylko z procesem rozbudowy i komplikowania się organizacji społecznej.

W warunkach zupełnie prostych i nieskomplikowanych — teoretyczne prawdopodobieństwo skutecznego oddziałania przeciętnej jednostki na daną grupę — jest zależne odwrotnie proporcjonalnie od wielkości tej grupy.

Przy głosowaniu w kole liczącem kilkanaście osób czuję ważkość każdego, a więc i mojego głosu. Przy głosowaniu w większem zbiorowisku, np. przy wyborach do Rady Miejskiej, wiem już, że jest bardzo mało szans, aby głos mój miał wpływ decydujący. Możnaby, zdaje się, wprost spróbować wykreślić granice kręgu, poza którym poczucie możności przeciętnej jednostki oddziaływania na czyn zbiorowy słabnie szybko i wreszcie zanika. Skomplikowanie dróg oddziaływania na społeczeństwo przez wprowadzenie instancyj pośredniczących (reprezentantów) — niesłychanie zwęża ten krąg, który możnaby nazwać *kręgiem poczucia bezpośredniości*.

W jakiemż zaś z nowoczesnych społeczeństw da się utrzymać ów bezpośredni, nieskomplikowany stosunek między obywatelem a organizacją państwową? Może w małych zbiorowiskach, np. w kantonach leśnych Szwajcarji. W większych i bardziej złożonych jest to zupełnie niemożliwe — poprostu ze względów czysto, rzec można, fizycznych, — techniki organizowania życia zbiorowego wielkich mas.

A przecież każdy prawdziwy człowiek chce widzieć ścisły związek czynu swojego z jego skutkiem. W rzeczywistości zaś rezultat czynu poszczególnej jednostki w stosunku do Państwa (np. głosu wyborcy do parlamentu) zmienia się na coś zupełnie nieraz przeciwnego jego intencjom, a w najlepszym razie staje się czemś tak dalekiem, skomplikowanem, tak trudnem do zrozumienia, tak silnie zawisłem od tysiąca nieznanych a przemożnych przyczyn, tak niemożliwem do skontrolowania, że naprawdę odrywa się od swego twórcy i staje się dla niego czemś zupełnie obcem. Czyż dziwnem jest, że wślad za tą obcością przychodzi obojętność i poczucie, jakże usprawiedliwione, bezsiły wobec akcji społeczeństwa? I czy nie tutaj tkwi istotna przyczyna kryzysu parlamentaryzmu? Demagogja partyjna, brutalność propagandy, presja wyborcza, te wszystkie zjawiska, które ostatecznie odcięły zwykłego człowieka od wpływu na tok życia społecznego,— rozwinąć się mogły tylko na tle tej zasadniczej wady parlamentaryzmu, chorego (nieuleczalnie) na zanik bezpośredniości.

Podstawowe prawdy statystyczne i socjologiczne mogą uzupełnić tę nabytą praktyczną wiedzę przeciętnego obywatela o właściwym stosunku sił jednostki i społeczeństwa i o istotnych możliwościach oddziaływania szarego człowieka na zbiorowość.

Tak więc, — z istotnych warunków pełni życia, o których mówiliśmy, tylko pierwszy — wzrost bogactwa wrażeń (i to głównie ilościowo) jest realizowany przy procesie uspołecznienia. Natomiast drugi, — równie ważny — możność skutecznej reakcji wobec tych wrażeń — nie jest i nie może być osiągnięty. — Rzecz bowiem z Państwem ma się podobnie jak z radjem; — można go słuchać, nie można mu odpowiadać. Kto więc mówi o obecnem, coraz ściślejszem związaniu obywatela z Państwem, — ma pełną rację, ale niech nie zapomina, że jest to stosunek typowo bierny, i, że niema szans na zmianę tej sytuacji. Dotyczy to wszystko oczywiście tylko zwykłych obywateli, takich, jakich jest 999 na tysiąc.

Wśród pozostałej grupy stosunki układają się inaczej, a wśród dalszej części t. zw. elity rządzącej nawet zupełnie odmiennie od stanu tu przedstawionego. Tym wybitnym wyjątkom proces uspołecznienia przynosi w darze istotnie całkowitą pełnię życia, silnie wzmagając bogactwo wrażeń i dając jednocześnie możność skutecznej walki ze zmienną rzeczywistością społeczną, — przytem ważność, a przez to i wartość uczuciowa tej walki jest wielokrotnie spotęgowana przez poczucie odpowiedzialności za los setek czy tysięcy istnień. Oni jedni, przeżywając dni swoje na o wiele szerszą i donioślejszą skalę, — posiadają istotnie wszelkie warunki psychologiczne do uznawania społeczeństwa za alfę i omegę swych zainteresowań myślowych i uczuciowych. Rozumiejąc, co przyniósł im w darze proces uspołecznienia — skłonni są do przypuszczeń, że i inni obywatele partycypują w tych darach w równym stopniu i wymagają od nich takiej samej wdzięczności i uczuć poświęcenia dla wspólnej sprawy. Co więcej, ponieważ stoją oni u rozdzielni energji społecznej i zależnie od jej dopływu mają możność pełniejszego zmagania się z rzeczywistością, i co za tem idzie, — żywszego rozpalenia się duchowego, — odczuwają boleśnie wprost osobiście każde t. zw. marnotrawstwo sił obywatela na cele pozaspołeczne, osobiste czy inne.

To niezrozumienie odmienności sytuacji, ten spostrzeżony przez Russella t. zw. „błąd rządzących“, — jest źródłem tragedji i dla rządzących i tysiąckroć oczywiście bardziej — dla rządzonych. Nie można bowiem dość silnie podkreślać, że stosunek do Państwa zwykłego obywatela i elity rządzącej jest zupełnie różny, — tym pierwszym bowiem proces uspołecznienia nie daje zaspokojenia jednej z najważniejszych potrzeb duchowych— możności twórczego, bezpośredniego oddziaływania na skromny bodaj krąg rzeczywistości.

Czy ukazywanie tych ciemnych stron procesu uspołecznienia świadczy o dążeniu do zahamowania tego procesu? — Oczywiście— nie! — Dążność taka byłaby po pierwsze beznadziejna, po drugie szkodliwa. Chodzi tu o coś zupełnie innego, — o to, ażeby w imię naczelnego dogmatu pełni życia — i pod groźą konsekwencyj, płynących z pogwałcenia tego prawa, pamiętać, przy posuwającym się naprzód procesie uspołecznienia, o zachowaniu w stanie możliwie nienaruszonym i nieskrępowanym — zakresu osobistych zainteresowań i oddziaływań jednostki, tego wszystkiego, co zawiera się w tak nazwanym tutaj „kręgu poczucia bezpośredniości“.

A mieści się w tym kręgu nietylko życie wewnętrzne jednostki, i rodzinne, i towarzyskie, ale i praca w związkach najbliższych współpracowników, i w spółdzielniach, i w zrzeszeniach zawodowych, i dalej życie samorządowe, i dalej regjonalne. To są tereny istotnej, czynnej współpracy jednostki ze społeczeństwem, to są też szkoły rzetelnego uspołecznienia, utrzymującego zarazem jedynie twórcze, samodzielne pierwiastki kulturalne. Płyną stąd ważne i palące wskazania i dla polityki wychowawczej, i administracyjnej, i ekonomicznej.

Rzeczywistość dzisiejsza nie idzie w kierunku tak pojętego uspołecznienia. — Zwyciężają tu raczej dotychczas tendencje skrajne, koncentracyjne, antyindywidualne. Twórcze, samodzielne czynniki są tu świadomie i konsekwentnie niszczone, a powstały brak pełni życia zaspakajany jest ciągłem utrzymywaniem mas w stanie gorączkowego, bojowego nastroju. Ta atmosfera bojowości, ten stan wojny — potrzebne są doktrynerom społeczeństwa totalnego i jako wytłumaczenie ponoszonych ofiar i — jako środek skoncentrowania całej uwagi obywateli na sprawach Państwa. Tylko też tam, gdzie istnieją specjalnie ostre, naprężone stosunki polityczne, społeczne, czy gospodarcze — wymienione tendencje skrajne zwyciężają. Ten nienormalny, wojenny właściwie stan obejmuje obecnie wprawdzie znaczną część globu; nie może jednak trwać wiecznie. — Z chwilą zaś gdy tylko zniknie, lub choćby straci ciśnienie bojowa atmosfera dzisiejsza, — prawo pełni życia nieuchronnie znów dojdzie do głosu, stając po stronie krzywdzonej dzisiaj jednostki.

WITOLD MAKOWIECKI

* Artykuł dyskusyjny.

STARZEC WOŁAJĄCY

W tej nocy wszystkie psy zawyły,
Węszące zaświat tuż nad ziemią,
Na polach zaśpiewały bryły,
Bo głos rozwiązał się kamieniom,
Koniom w zagrodach było ciasno
I śniły drogi Mesyjasza,
Młyn, co wieczorem w trawie zasnął,
Skrzydłami czujność swą ogłaszał,
Ulice—nie wiadomo czemu—
Klękły i trwały nieruchomo
Na zachwyt księżycowym cieniom,
Na podziwienie niemym domom.
Na wsiach i w miastach—w wszystkich drogach

Wiatr powiał niebem zaświatowo
I stu młotami biła trwoga
W kowadło ciszy Hasło, Słowo!

W tej nocy wyszedł siwy starzec
Na puste pola, w wiatru fale
I z zapatrzoną w niebo twarzą
Szedł bronić wiecznej Jeruzalem!

Z ciałem jak płaszczem narzuconym
Wołał do walki, do obrony
Samotny człowiek pod gwiazdami!
Czy więcej nikt nie pójdzie za nim?

WOJCIECH BĄK

„MILCZENIE TYFOIDALNE"

Wymownem? złotem? ciężkiem? tyfoidalnem? Jakiem nazwą milczenie, które stosowałem wobec niedawnej polemiki awangardzistów? Nie chcę tego przesądzać, lecz, gdybym przemilczał artykuł Karola Irzykowskiego p. t. ...*Verba Peiperi* (*Pion*, 2 luty), dla milczenia mojego poszukanoby napewno metafory równej podejrzeniu. Mogłem obserwować z dystansu „kłótnię w rodzinie" — jak nazywa Irzykowski sapania poezji, które wiały ostatnio stronicami *Tygodnika Artystów* i *Gazety Artystów* — ale nie umiem pokonać dyskusyjnych pokus, gdy przeciwko mnie staje Karol Irzykowski, którego przeciwnicze wystąpienia dają zawsze każdemu, kto umie z nich korzystać, okazję do ważnych samookreśleń.

I.

Zapragnął Irzykowski utworzyć skalę wartości metafor (*Walka o treść* str. 57 i 58). Dla jej uzyskania wziął rzeczownik „milczenie" i umieszczał go w zestawieniach z różnemi przymiotnikami, a potem zapytywał, jaką wartość ma każde z zestawień. Wynikiem tych jego czynności była skala następująca: 1. wymowne milczenie; 2. ciężkie milczenie; 3. zielone (niebieskie) milczenie; 4. złote milczenie; 6. suche (wilgotne) milczenie; 6. tyfoidalne milczenie. — W skali tej „wymowne milczenie" otrzymało rangę najwyższą, „tyfoidalne" strącone zostało na niskie ugory nonsensu.

Czynności te poddałem krytyce w mojem *Tędy* (str. 368—372). Tu z przykrością wyznam, że swym artykułem nietylko nie zdobył mnie Irzykowski dla swej skali, lecz przeciwnie — bardziej mnie jeszcze do niej zniechęcił. Jestem zdania, że po tym jego artykule sprawa jego skali przedstawia się znacznie gorzej.

Sam Irzykowski niezbyt troskliwie odnosi się do własnego pomysłu, skoro nie uchronił go od rażących niezgodności. Przecie jego wyniki ukazuje za każdym razem inaczej! W książce swej przyznał najwyższą rangę „wymownemu milczeniu" za paradoks, który ono zawiera, i pogląd ten wszedł w sprawozdawczą część jego artykułu t. j. w jego początek (szpalta 1, wiersz 26 od dołu). Natomiast na końcu artykułu (wiersz 15 od końca) skala wygląda zgoła inaczej: 1. najwyższa ranga: zestawienia czysto treściowe; 2. niższa ranga: zestawienia trikowe np. paradoks; 3. najniższa ranga: zestawienia werbalne. — A więc raz paradoks zajmuje najwyższe miejsce, innym razem ma jeszcze nad sobą wyższą rangę w postaci zestawień „czysto treściowych". Może kto inny usiłowałby tę niezgodność złośliwie przeakcentować, ja jednak nie chcę nadawać jej większego znaczenia niż mi to jest potrzebne. Zajmuję się skalą metafor nie poto, by ją obalić, lecz by oświetlić jej twórcę.

II.

Podobnie jak „wymowne milczenie", najwyższe pochwały otrzymuje od Irzykowskiego „suchy ocean". Warto zwrócić uwagę na motywy pochwał.

Przybosia, który chwali tę metaforę jako „wiązkę wytryskujących widzeń", usiluje Irzykowski przekonać, że nie o to chodzi, lecz że przyczyną wysokiej wartości „suchego oceanu" jest sprzeczność zachodząca między obu wyrazami; za chwilę podaje swą myśl szerzej, wychwalając tę metaforę za paradoks, oxymoron, oszustwo i gwałcenie wyobraźni czytelnika.

Jak stąd widać, postponuje autor *Walki o treść* wyobraźniową funkcję metafor, a na pierwszy plan wysuwa ich właściwości intelektualne. Takiego wartościowania uznać nie mogę. Ja, gdy pragnę uzasadniać wysokie walory nowoczesnej metafory, odwołuję się do jej działań na wyobraźnię i ukazuję nowe radości wyobraźniowe, jakie dzięki niej powstają. W jaki sposób intelektualne właściwości, od których według Irzykowskiego zależy wartość metafor, zamieniają się na walory poetyckie, trudno dociec. Ale w tem właśnie wartościowaniu wyraża się indywidualność myśliciela.

III.

„Milczenie tyfoidalne" ocenił twórca skali nietylko najniższej, ale jeszcze skwalifikował je jako nonsens. Zmierzając w *Tędy* do wykazania, że powiedzenie to nie musi być nonsensem, rozejrzałem się za sytuacją, w której owa metafora mogłaby uzyskać swój walor. W przykładowem ujęciu wyglądało to tak:

> Chorą na tyfus leczy lekarz, który jest jej serdecznym przyjacielem. Postępującą chorobą przejmuje się do tego stopnia, że odbija się to na jego twarzy. Przychodzi ktoś i pyta o stan chorej. Lekarz milczy. Twarz jego jest już tak zniszczona, że pytający odczuwa ją jako chorą, niemal taksamo chorą, jak twarz pacjentki. Gdy potem ze wzruszeniem opisuje komuś swą wizytę w szpitalu, o strasznem milczeniu lekarza mówi: „to milczenie było też tyfoidalne". Znaczy: było nieodłączną cechą tego tyfusu. Świadczyło o tem, że lekarz przejął się nim tak jakgdyby się chorobą zaraził... Dokładniejsze zarysowanie sytuacji i umieszczenie tej metafory w stosownem otoczeniu słownem mogłoby nadać jej niezwykłą siłę. *Niema takich dwu słów, któreby nie miały jakiejś sytuacji, mogącej uzasadnić ich metaforyczne połączenie.*

Wywodowi mojemu przyznaje Irzykowski słuszność, ale nazywa go sofizmatem. twierdząc, że moje zwaloryzowanie „tyfoidalnego milczenia" wyskakuje poza warunki jego eksperymentu. Stanowczo oponuję! Żadnego sofizmatu niema! Zarzut swój wypowiada Irzykowski bez żadnych dowodów, bez bliższych określeń. To stanowczo nie wystarcza.

Jeśli Irzykowski chciał utrzymywać, że warunki eksperymentu przekroczyła sytuacja, którą do „tyfoidalnego milczenia" dorobiłem, to muszę stwierdzić, że to usytuowanie poniżonej przez niego metafory było zastosowaniem do niej tej samej czynności, jaką on sam posługiwał się w odniesieniu do wszystkich innych metafor; bo dla wszystkich milczeń szukał twórca skali waloryzujących je sytuacyj, a tylko milczenie tyfoidalne bez takiej sytuacji pozostawił i po takiem osieroceniu o nonsens oskarżył.

IV.

To szukanie sytuacyj dla różnych metafor skali nie jest zresztą niczem przypadkowem. Dowodzi ono conajmniej niewystarczalności, jaką grzeszą dane skali.

Skala Irzykowskiego jest źle pomyślana; dwoma słowami izolowanemi nic ocenić nie można; izolowane od otoczenia słownego, nie dowodzą one niczego. Że izolowanie metafor od reszty utworu musi prowadzić do potwornych błędów, starałem się wykazać m. in. broniąc jednej z prześwietnych metafor Szekspira przed izolatorskiemi wykrawaniami Irzykowskiego (*Tędy*, str. 389—390).

Takim czynnościom izolatorskim przeciwstawiłem twierdzenie, że każdą metaforę oświetla cały utwór. Gdy ten punkt widzenia przechodzi u Przybosia w odwoływanie się do kontekstu, dokucza Irzykowskiemu tak bardzo, że aż go denerwuje. Uczony pisarz czyni tu wrażenie jakby lękał się, że podejrzywamy go o nieznajomość rzeczy, której nie wolno mu nie znać. A przecie nikt takiego podejrzenia mieć nie może, każdy zaś prawdziwy znawca literatury musiał nieraz zachwycać się myślami, które świetny umysł Irzykowskiego wyławiał właśnie z kontekstów.

Nie docenia jednak Irzykowski zależności metafory od jej bliskiego i dalekiego otoczenia, gdy chodzi o sprawy poezji. Że tak jest, tego nowe przykłady dał nam właśnie w swym ostatnim artykule.

Powiada, że założeniem jego skali było „niezbyt wielkie", „normalne" otoczenie różnych rodzajów milczenia. Spójrzcie jak to niezbyt wielkie, to normalne otoczenie wygląda: niema go wcale! Obok rzeczownika i przymiotnika, które razem stwarzają metaforę, niema w skali nic! Nic! Ładne mi to otoczenie normalne. Ależ to jest najbardziej absolutna izolacja. Stuprocentowo czysta izolacja.

Podobnej izolacji dopuszcza się Irzykowski, gdy dla wypróbowania ogólnej wartości metafor pragnie w wierszu Mickiewicza „wpłynąłem na suchego przestwór oceanu" zastępować przymiotnik „suchy" różnemi innemi, i gdy, nie cofnąwszy się przed wprowadzaniem w ten wiersz przymiotnika „tyfoidalny", z pochopnem zadowoleniem woła, że to właśnie jest eksperyment, o który mu chodziło przy tworzeniu skali. Takiem postępowaniem dowodzi raz jeszcze, że działań otoczenia na metaforę nie uwzględnia; przyjmując otoczenie niezmienne dla przymiotników zmienianych dowolnie, operuje tak jakby nie przyjmował żadnego otoczenia. Sytuacja pierwszego wiersza *Stepów Akermańskich* dopuszcza przy słowie „ocean" kilka zaledwie przymiotników, a znalezienie przymiotnika wysokowartościowego poetycko czyni — według mnie — wręcz niemożliwem. Dlatego to Mickiewicz tyle razy ten przymiotnik zmieniał. Przymiotnikiem „suchy" nie pokonał — według mnie — niemożliwości; metafora „suchy ocean" — według mnie — nie siedzi tu dobrze. Ta sama metafora mogłaby być jednak świetna — według mnie — w innem miejscu wspaniałego sonetu, gdyby sonet formą swą takie przemieszczenie dopuszczał. Mówię to wszystko bez uzasadnień, bez dowodów, bo nie chodzi mi w tej chwili o prawdziwość moich ocen, lecz tylko o ich ilustracyjność. Niech ilustrują mój pogląd, że wartość metafory zmienia się zależnie od miejsca, że wprowadzanie w dane miejsce metafor, które z tego miejsca nie wyrastają, jest absurdem, i że taki eksperyment żadnych wyników dać nie może. Pogląd ten jest odpowiednikiem wypowiedzianego już poprzednio twierdzenia o związku każdej metafory z całością utworu.

V.

Irzykowski wola: całość utworu? Ależ całość waszych utworów nie może rzucać żadnego światła na poszczególne metafory, bo jest niezrozumiała! Gama uszczypliwości, po którą krytyk nieraz w swym artykule niepotrzebnie sięga, zaczyna brzmieć i tutaj.

Ta jego gama wydawała mi się początkowo tylko środkiem tonalnym obliczonym na znużone ucho czytelnika, wkońcu jednak wysłuchałem z niej autentyczny gniew wybitnego człowieka, który wiele trudnych rzeczy zrozumiał, a nie rozumie takiej — patrzcie — poezji awangardowej, co to ją robią chłopcy od lat 18 w górę, i to nawet nie gdzieś w Paryżu czy Berlinie, ale — patrzcie — w Krakowie, Warszawie, ba, w Wilnie! Uroczy jest ten widok znakomitego myśliciela, biedzącego się nad jakiemś zdaniem poezjującego smarkacza.

Dlatego nie mam do niego żalu o to, że nie widzi prawdziwej wartości naszej poezji, że nie dostrzega w niej spraw o nieprzejrzanych możliwościach, że jej dotychczasowych dokonań nie bierze za zapoczątkowanie przemian o dalekosiężnych następstwach, i że jej zwycięstwa, których obecnie jesteśmy świadkami, wydają mu się szczytem konjunktury. Nie będę go przekonywał, że nie ma racji.

Jego oskarżanie nas o niezrozumialstwo tylko notuję, i tylko w tym celu, aby, gdybym przypadkiem przemilczał ten jego motyw polemiczny, przemilczenia mojego nie nazwał np. „wilgotnem". Nie mam zamiaru poruszać dzisiaj spraw nowej poezji; chcę wskazać na błędne stanowisko Irzykowskiego wobec poezji wogóle, nawet wobec poezji Szekspira i Mickiewicza. Że w ten sposób najskuteczniej zwalczam skutki, jakie ważne jego pióro wrogiem swem nastawieniem sprowadza na nową poezję, tego *inter augures* zatajać nie warto.

VI.

Moje negatywne stanowisko wobec skali metafor dolega jej twórcy głównie z powodu następstw tej negacji.

Irzykowski twierdzi, że jeżeli „milczenie tyfoidalne" może mieć sens, w takim razie wogóle niema nonsensu. Nigdy w świecie! Wprawdzie twierdzę, że niema takich dwóch słów, któreby nie miały jakiejś sytuacji mogącej uzasadnić ich metaforyczne połączenie, ale nie twierdzę, że każda sytuacja dopuszcza każde połączenie. Bynajmniej nie wykluczam istnienia nonsensu. Czy jakieś połączenie słowne użyte jest z sensem czy też nie, o tem rozstrzyga całość utworu. I tylko to, a nie obronę nonsensu, mógł mieć na myśli Przyboś, gdy powoływał się na mój wywód o „milczeniu tyfoidalnem". Jestem też zmuszony stwierdzić, że nieprawdziwą jest relacja Irzykowskiego jakoby Przyboś przy każdej sposobności powtarzał, że niema nonsensów. Nasza poezja awangardowa nigdy ani swej teorji ani swej praktyki na obronie nonsensu nie budowała.

Twierdzi dalej Irzykowski, że od istnienia skali metafor zależy wogóle możność ustalania rang nietylko dla środków poetyckich, nietylko dla drobnych ustępów, lecz i dla całych utworów. Nic podobnego! Rangi takie można ustalać bez istnienia takiej skali. I bez jej istnienia ciągle je ustalamy. Różnimy się w przyznawaniu rang, i zawsze różnić się w tem będziemy, ale kryterja, na których nasze oceny opieramy, nie dadzą się zamknąć w skali utworzonej z dwu słów izolowanych. Bo kryterja te są w związku już nietylko ze spożywaniem całego utworu, ale ze spożywaniem całego naszego życia. Kryterja, któremi oceniamy dzieło sztuki, zawierają w sobie także kryterja, któremi oceniamy sposoby życia. Oceniając walory artystyczne, oceniamy także walory życiowe!

VII.

Charakterystycznem jest, że dla uzyskania „najgorszej" metafory („milczenie tyfoidalne") sięgnął Irzykowski po przymiotnik — naukowy! Czyniąc to, poszedł z najpowierzchowniejszym prądem. Niewolnicy przekazanych odczuwań odniosą się z natychmiastową awersją do „tyfoidalnego milczenia", już choćby dlatego, że zawiera ono w sobie termin naukowy, rzekomo prozaiczny, rzekomo zimny. Mam żal do autora *Walki o treść*, że użył tu podstępu psychologicznego opartego na korzystaniu z przesądu ludzkiego. Przesąd ten w mniejszym lub większym stopniu znajdziemy w sobie wszyscy. Może jednak byłoby dobrze poddać rewizji wartość poetycką słów naukowych? Może należy im się kąpiel wzruszeń? Kilka prób w tym kierunku uczyniłem w mojej poezji. Zadanie jest trudne, ale odpowiada jednej z głębszych potrzeb nowoczesnego człowieka. Jeśli się nie mylę, miał Irzykowski w swej twórczości okres, w którym myślał o tych sprawach. Gdyby tak było, smutnym byłby fakt, że teraz o nich nie myśli. A może w poniżającej ocenie tyfoidalności mamy do czynienia z wewnętrzną sprzecznością oceniacza? Życiowy stosunek Irzykowskiego do nauki powinien był nasunąć mu tu inne kryterjum artystyczne.

VIII.

W artykule Irzykowskiego cieszy mnie jedno miejsce:

> Peiper jest bardzo zręczny i np. nawet na zarzut: „co ma piernik do wiatraka?" miałby gotową odpowiedź: „wiatrak miele mąkę, z mąki robi się piernik, więc piernikowi wiatrak nie może być obojętny".

To istotnie ukazuje jedną z charakterystycznych właściwości mojego myślenia; mówię nie o zręczności, którą uprzejmie przyznaje mi znakomity krytyk, ale o czemś znacznie głębszem. Istotnie, działa we mnie nieodparcie skłonność do łączenia spraw, które pozornie nie pozostają ze sobą w żadnym związku. Ja tak właśnie widzę świat, dzieje i człowieka. Dalekie odległością czy działaniem rzeczy złączone są dla moich oczu ścisłemi związkami. Widzę współistnienie, współżycie, współpracę — na odległość. Poprzez związki metaforyczne, jakie tworzę, przebija mój pogląd na świat. Jest w tem — chcecie? — filozofja. I jeśli kto, to chyba Karol Irzykowski powinien mnie tu rozumieć. Dlaczego Pan mnie nie rozumie?

TADEUSZ PEIPER

Zakopane, 13 lutego.

ZJAZD PISARZY SOWIECKICH*

Zjazd ten był zwołany do Moskwy w imię szukania i ustalenia kierunków rozwojowych kultury socjalistycznej. Poprzedziła go reorganizacja Związku Pisarzy Sowieckich na podstawie dość surowej selekcji oraz dłuższa dyskusja w prasie — dyskusja w sensie sowieckim, co znaczy, że osoby uzbrojone w autorytet piętnowały błędy, a oskarżeni wyrażali skruchę i potępiali swe grzechy, stojący zaś zboku, chociaż nie zawsze byli po stronie oskarżyciela, skłaniali w milczeniu głowę przed autorytetem. Mam tu na myśli akcję Gorjkiego, który w sposób niezwykle ostry wziął w obronę główne narzędzie ludzkiej kultury — język. Wystąpił on przeciw wulgaryzowaniu form zewnętrznych w twórczości literackiej szeregu pisarzy sowieckich, przeciw utożsamianiu ordynarności z ludowością i duchem proletarjatu, jak również przeciw zbyt uproszczonemu i schematycznemu traktowaniu treści. Postaci Gorjkiego należy się tutaj słów kilka. Ten weteran literatury rewolucyjnej, tkwiący głęboko korzeniami w kulturze końca XIX i początku XX wieku, a jednak pochodzący z warstwy proletarjatu, był jakby predestynowany do odegrania roli pomostu między dawnemi i nowemi laty. Jeszcze w poprzedniej swej działalności nawoływał do niezrywania nici z tradycjami kulturalnemi przeszłości. Nie jest to umysł finezyjny, ale może ta właśnie cecha ułatwiła mu w warunkach sowieckich zdobycie stanowiska swego rodzaju dyktatora kultury. Jego akcja, skierowana przeciwko masowej grafomanji i niechlujstwu formy, była w zasadzie bardzo zdrowa. Jest on jednak już poważnie posunięty w latach, zrzędny i w wystąpieniach swych często wpadał w krańcowość. Jego ton mentorski wywołał żywe, chociaż nigdzie głośno nie manifestowane niezadowolenie grona prawdziwie utalentowanych młodych pisarzy, którzy mu zarzucają głoszenie komunałów i prawd elementarnych. Należy jednak przyznać, iż przypomnienie tych prawd elementarnych i to przypomnienie w sposób niezwykle kategoryczny okazało swój wpływ dobroczynny.

Sam zjazd pisarzy miał kilka ciekawych momentów. Jak się należało spodziewać, miał on zewnętrznie charakter wielkiej manifestacji oddania i lojalności wobec panującego ustroju ze wszystkiemi służalczemi akcesorjami oraz manifestacji jedności i łączności świata literackiego ze światem pracy. Zjazd uznał rzeczywistość sowiecką za najwyższy szczyt osiągnięć ludzkości w jej całym historycznym rozwoju. Obrady toczyły się na temat przyszłej treści programowej literatury sowieckiej, na temat jej centralnej postaci — bohatera państwa sowieckiego, bohatera pracy, techniki, nauki i obrony ojczyzny proletarjackiej. Szukano recept, któreby umożliwiły „stworzenie dzieł godnych wielkiej epoki socjalizmu" i zatrzymano się na realizmie socjalistycznym, popartym pogłębioną znajomością klasyków literatury światowej. Jednakże wśród tego grona wiernych uwidoczniły się daleko idące rozbieżności. Najbardziej emocjonujące

* Por. *Pion* nr. 7 (72) i 9 (74).

było starcie pomiędzy apostołami wysokiej estetyki i erudycji, uosobionymi przez Bucharina, a zasłużonymi rzemieślnikami literatury masowej, których reprezentował Demjan Biedny, oraz młodszem pokoleniem zadufanych w sobie partyjnych pisarzy komsomolskich z Bezymienskim na czele. Pierwszy raz w mowie Bucharina padły mocne i niedwuznaczne słowa krytyki pod adresem „rymowanych artykułów wstępnych“, „agitek“, które zostały nazwane starzejącemi się formami twórczości sowieckiej. Większość zjazdu gorąco oklaskiwała Bucharina; jednakże zaatakowane przezeń osobistości posiadają zbyt jeszcze wielkie pozycje w swym dorobku i zbyt duże wpływy w sferze rządzącej, aby nie wyzyskać środków obrony. Starcie, pomimo ostatecznego wycofania się Bucharina, nie przyniosło zwycięstwa żadnej ze stron. Przebieg jego był ciekawy już z tego względu, że wykazał, jak bardzo oddaliły się od siebie bieguny systemu kulturalnego w Sowietach.

Drugiem zagadnieniem, które, chociaż nie zawsze nazywane po imieniu, najwyraźniej przesiąkało atmosferą obrad, był problem indywidualizmu. Z jednej strony były to kwestje stosunku jednostki do społeczeństwa i ich odzwierciadlenia w literaturze, z drugiej — poszukiwania własnych dróg twórczych. Pod pierwszym względem, jak wspominałem wyżej, poczynione już zostały duże ustępstwa. Miłość, przeżycia intymne, szczęście osobiste nie są już od dłuższego czasu tematami niegodnemi twórczości sowieckiej. Wprawdzie niema jeszcze przeciwstawiania sie indywiduum społeczeństwu, ale bądź co bądź faktem jest, że pisarz tak egocentryczny jak Pasternak znalazł na zjeździe najwyższe oceny. Co się tyczy indywidualności w drugim sensie, to żadne hasło nie jest dzisiaj tak popularne w Sowietach, i to we wszystkich dziedzinach, jak inicjatywa twórcza. Jest ono stosunkowo łatwe do urzeczywistnienia w dziedzinie techniki. Ale wszędzie, gdziekolwiek wchodzi w grę szukanie nowych dróg twórczości ducha, żądanie indywidualności w warunkach sowieckich jest stawianiem człowieka wobec błędnego koła. I na zjeździe również żądano od pisarza sowieckiego samodzielności, oryginalności, inicjatywy, a jednocześnie uczyniono wszystko, aby jego indywidualność wcisnąć w określone ramy. Dano mu recepty tworzenia, wskazano tematy i bohaterów. Ustalono również i zasadniczy ton jego twórczości — ma to być ton optymizmu, ton afirmacji w stosunku do rzeczywistości sowieckiej, nienawiści do wroga. Z poezji wykluczono pierwiastek mistycznych poszukiwań jakichkolwiek innych realności poza otaczającym go światem. Wyłączono faktycznie element tragedji i buntu przeciw rzeczywistości, aczkolwiek podkreślano jednocześnie, iż największe arcydzieła literatury świata powstały na gruncie przeciwstawiania się pisarza otaczającym go formom bytu. Nikt na zjeździe nie ośmielił się mówić o rozluźnieniu tych ram, krążono koło istotnych źródeł skrępowania, ale nikt nie nazwał ich po imieniu. Nawet ci, którzy mówili o przeroście schematyzmu socjologicznego w literaturze pięknej, zasłaniali się legitymacją partji. Partja i rząd wzięły w swe ręce wskazywanie dróg intelektowi, występując w roli guwernantki genjuszów, których produkowanie objęto niemal planami pięciolatek. Zabawne było, kiedy Gorjki, potępiając przerost ilościowy pisarzy sowieckich, ustalał liczbę genjalnych i bardzo utalentowanych twórców, jaką mniej więcej winien wydać Związek Sowiecki — pięciu genjuszów, 50 wielkich talentów...

Jak widzimy, w tych ramach indywidualność twórcza nie ma rozległych terenów do przejawiania się i odnajdywania swych dróg i kształtów.

Zjazd pisarzy sowieckich nie stanowił zatem punktu zwrotnego w dziedzinie krystalizacji pojęcia kultury socjalistycznej, wykazał natomiast rozbieżność pierwiastków, które się mają na nie złożyć i, jako ilustracja tego zagadnienia, był niezmiernie pouczający. Uwidocznił też po raz tysiączny tę żelazną obręcz, w którą wtłoczone są wszystkie przejawy życia materjalnego i duchowego dzisiejszej Rosji, a która się nazywa ustrojem sowieckim.

*

W uwagach moich, drukowanych w *Pionie*, nie usiłowałem dawać jakiejś syntezy pojęcia kultury socjalistycznej i nie przypuszczam, aby to było możliwe w dzisiejszem stadjum płynności. Odnotowałem kilka jego elementów, z których jedne mają już postać ustabilizowaną, inne zaś są dopiero w poszukiwaniu krystalizacji. Ustalono pozycję, którą kultura socjalistyczna winna zająć w dorobku kulturalnym ludzkości. Zgodzono się ogólnie na podnoszenie form zewnętrznych tej kultury. Natomiast w ujęciu jej treści pozostaje jeszcze dużo punktów mglistych, zwłaszcza niejasne jest miejsce, jakie w niej winna zająć centralna postać zagadnienia — człowiek.

W całym tym procesie ewolucyjnym daje się wyczuwać głęboki ferment, wywołany sprzecznością składników, które muszą współistnieć obok siebie. W jakim kierunku pójdzie dalsza ewolucja — czy nastąpi zdecydowana separacja tych składników i powstaną dwa odrębne systemy, z których jeden można będzie w dalszym ciągu nazywać kulturą mas, a drugi kulturą elity, czy uda się osiągnąć ich trwalszą fuzję, czy też skończy się poprostu nawrotem do starego w zasadzie, lecz już zdeformowanego stanu rzeczy — są to zagadnienia, na które nie podejmuję się dawać odpowiedzi. Niewątpliwie partja i rząd dążą do pogodzenia sprzeczności i wytworzenia systemu zharmonizowanego — wydaje się jednak, że dziedzina życia duchowego zbyt jest subtelna, aby w niej mogły znaleźć zastosowanie metody administracyjnej reglamentacji i planowania, a i system kartkowy, chociażby oparty na zróżniczkowaniu potrzeb i ich zaspokajania.

A. K.

PIONIER PSYCHOGRAFJI RELIGIJNEJ

HENRI BREMOND

Psychografja religijna, do niedawna jeszcze w powijakach, — dziś coraz śmielej i coraz skuteczniej wywalcza sobie miejsce i prawo do „naukowego istnienia“ wśród innych gałęzi psychologji opisowej. Niestrudzonym pionierem młodej dyscypliny był, zmarły przed kilku miesiącami, Henri Bremond, członek Akademji Francuskiej, wybitny psycholog, niezrównany stylista, któremu udało się rzucić na rynek księgarski — rzecz we Francji niebywała — kilkanaście tomów po kilkaset stron in 8°, *które czytają wszyscy:* erudyci i literaci, wierzący i niewierzący, uniwersytet i zakony, specjaliści i światowe panie. Pierwszy tom zdobył szturmem opinję publiczną i odtąd, z każdym tomem, zainteresowanie rosło. Śmierć nie pozwoliła Bremondowi dokończyć dzieła. Ale to, co jest, stanowi monumentalną całość, o żywem, twórczem tętnie (monumentalność i życie rzadko chodzą w parze), które dla wielu mniej śmiałych i mniej przedsiębiorczych wybija wyłom na nowy, mało znany świat odkryć. Dopiero za kilkanaście lat, w perspektywie czasu, będzie można ocenić wpływ Bremonda na całą ekipę młodych psychografów, którzy z nim — nieraz przeciw niemu, a jednak pod jego impulsem, karczują w dalszym ciągu tajemniczą dżunglę.

Histoire littéraire du sentiment religieux en France depuis la fin des guerres de religion jusqu'à nos jours: oto pełny tytuł dzieła, z całym akompanjamentem podtytułów. Wszystkie inne książki Bremonda są właściwie tylko materjałem przygotowawczym, albo tem co zbywa z bogactwa tej olbrzymiej bryły, w której każdy cios dłóta rzeźbi nowy rys, porusza nowy problem domagający się nieraz *oddzielnego* omówienia. I tak, jako oderwane złomy powstały np. *Prière et Poésie*, *Métaphysique de la prière*. Bremond jest człowiekiem jednego tematu i w tem kryje się tajemnica jego zawrotnej wydajności.

Niesposób omówić pokrótce takiego ogromu. Podając kilka ogniskowych punktów, nadających całości swoisty styl, mam na myśli raczej sygnały wskazujące na dalszą drogę odkrywczą, niż recenzję w zwykłem tego słowa znaczeniu.

Pierwszym takim ogniskowym punktem jest problem psychografji religijnej *tout court*. Niemal od połowy 19 wieku w hagjografji panował wszechwładnie kanon „bronzownictwa“. Święty był nadczłowiekiem urodzonym i wychowanym w specjalnym klimacie, gotowym i wykończonym niemal od kołyski, noszącym aureolę na codzień; rzeczywistość z krwi i ciała, jaką jest *każde życie ludzkie*, a więc i życie świętych, nikła bez śladu pod hieratyzmem szat, w cieniu momentów kulminacyjnych, w błyskawicach cudów. Dla autora *Złotej Legendy* świętość była niemal synonimem niezwykłości, zaś życiorys świętych musiał być zbiorem dokumentów świadczących o tej niezwykłości. W pstrym kolorycie faktów, w szumie superlatywów, zacierała się i nikła indywidualność świętych, tych ludzi przerastających ludzki wymiar — a jednak ludzi. Stąd w mniemaniu współczesnych, żyjących pod znakiem czasu, pod znakiem psychologji, „fakt“ świętych stał się jednym więcej z niezrozumiałych faktów wchodzących w skład średniowiecznej rupieciarni, a domagających się gwałtownie odbronzowienia. Ręce profanów, biorące się do dzieła zbyt gorliwie, odarły złotą legendę nietylko z nimbów, ale i z rzeczywistości wogóle. O procesie tym świadczy choćby sam przekrój semantyczny słowa: legenda, zrazu: rzecz do czytania, elementarz duchowy — dziś: synonim bajki, w której niepodobna odnaleźć słabego rusztowania historji. Młoda i zaborcza psychologja zaczęła na swój

P O D R Ó Ż

PROLOG

Boczna droga wije się wśród zgniłych pól. Kopyta konia dzwonią głucho po grudzie, a łeb zanurza się w siwą, gęstą mgłę. Słońce uwięzło w pajęczynie babiego lata i gaśnie w oczach.

(A gdzieś daleko są kraje, w których słońce można pić pełną piersią...).

Obaj z koniem kiwamy gorzko głowami, spotykając tak bardzo znajome wierzby w jesiennych łachmanach. I tę znamy, i tamtą... pamiętamy każdą dziuplę, każdy sęk... Żadna się nie zmieniła. Sterczą wzdłuż naszej drogi, jak dziady u wejścia do kościoła, i mruczą swoje nędzarskie pacierze.

Niektóre z nich ruszyły z miejsca i człapią zwolna ścieżką. I te znam także oddawna: oto rybak Michał, stary kłusownik Damjan, żebraczka Kopalicha i Teodor, syn ekonoma ze Sławek. Przy mijaniu się mruczymy coś do siebie niewyraźnie, bo zgóry wiemy, cobyśmy sobie mogli powiedzieć; o słońcu, deszczu, wiatrach i ziemi.

(A gdzieś są szerokie szlaki, na których spotyka się codziennie nowych, nieznanych ludzi...)

Wszystkie poplątane i zagmatwane ścieżki pól prowadzą nas niezmiennie do bramy domu, który — sapiąc ciepłem i sytością — gotuje się do snu zimowego. Zamknął się płotami i tępemi tyłami budynków odgrodził od całego świata, gdyż sam stał się całym światem dla kilkorga ludzi.

(A gdzieś jest wielki, otwarty świat, który może być domem dla szeroko otwartych bram duszy...)

WSTĘPY

Nie dość jest powiedzieć: wyjeżdżam.

Nie dość jest rzucić myśl jak harpun w cielsko przyszłości.

Szare życie nie dopuszcza do czarodziejstwa, którem dusza mogłaby się zbyt radośnie zachłysnąć. Szare życie każe nam odpokutować naszą zdradę i dezercję długą pielgrzymką pokutną.

Pielgrzymujemy po wielkich, szaro-żółtych domach, wystajemy w zaplutych, zadymionych i zatęchłych korytarzach, modląc się do nieznanych potęg ukrytych za drzwiami, aby nam przebaczyły, że wyjeżdżamy. Ale oni, ci mieszkańcy szarych domów, skazani na życie moli i śmierć korników, mszczą się, że nie podejrzewaliśmy ich istnienia. Udają, że bez ich znaczków, cyferek i pieczątek nie potrafimy nigdzie pojechać, a tymczasem zwłóczą, aby podstępnie wyciągnąć od nas cały słodki sekret wyjazdu.

W agencji okrętowej mają inny system: nikt się nie dziwi wspaniałości naszych projektów i dalekości naszej podróży. Dają nam mały różowy karteluszek, na którym mieszczą się rejsy kilku aż okrętów, jakby to był rozkład jazdy kolejek podmiejskich.

Ludzie z agencji okrętowej wiedzą doskonale, ile jest kabin pierwszej i drugiej klasy na każdym okręcie i nie potrzebują odbywać żadnych podróży. Patrzą pobłażliwie na naiwnego człowieka, który jedzie to sprawdzać aż do Marsylji czy Hawru.

Zresztą sprzysięgają się przeciwko naszemu wyjazdowi nietylko oni, ale także wszyscy nasi znajomi, a nawet własne nasze rzeczy. Znajomym trzeba opowiadać po kilka razy, jak i którędy się pojedzie, co tak odbiera żywą krew i siłę samej podróży. A rzeczy, ułożone w znanych walizach, krzywią się pogardliwie, że wszędzie jest potrzebna szczotka do zębów i pyjama.

Nawet pociąg z międzynarodowemi tablicami na bokach wlecze jeszcze za sobą smugę starego, stęchłego życia.

Dopiero krzyk: *Paris!* a zwłaszcza *Marseille!*, dopiero odmienne bluzy numerowych, inna sylwetka taksówek, dopiero poranny zapach obcego miasta — budzi niepewne podejrzenie, że przekroczyło się granicę znanego dotąd życia.

MASKA JĘZYKÓW

Kiedy obiegliśmy dokoła cały statek i przekonaliśmy się, że nie uda nam się z niego uciec — musieliśmy się zająć wzajemnie sobą.

Ale patrzymy na siebie nieufnie: w każdej twarzy zamknięty jest przecie cały obcy świat, a za każdą postacią ciągnie się smuga jej własnej podróży. Nie wiemy, czy zdołamy objąć tyle obcych światów naraz i czy nie zaszkodzą one naszemu.

A niektórzy kryją się jeszcze za nieprzejrzystą maskę obcego języka i są podwójnie obcy. Nawet słowa, które rozumiemy — co innego znaczą dla nich niż dla nas, którzy je rozumiemy tylko po wierzchu.

Kimże może być w gruncie rzeczy ten kościsty *padre* z oczami fanatyka? Jakie ma „prawdziwe znaczenie“ blady, obwisły Portugalczyk, który co chwila otrzymuje depesze? Kim jest w istocie tłusty metys z niezliczonemi pierścionkami na palcach? O czem szepczą w rogu dwie jędze anielskiej senioricie?

Patrzymy na siebie z początku własnemi oczami, ale to niewiele wyjaśnia: oczy nasze przywykły do ludzi jednego gatunku, jednej barwy, jednego zapachu. Próbujemy więc stawać od strony każdego kolejno sąsiada. Ba! — patrzymy na siebie samego oczami hiszpańskiego jezuity, portugalskiego handlarza, brazylijskiego bogacza i pięknej seniority: jak wyglądamy od ich strony?

Usłużny *maître d'hôtel* wślizguje się między nas i nieomylnym chwytem łączy nas przy półmiskach. Już hiszpański fanatyk błogosławi przymilnym gestem ryby i sałatę podobną do ostu. Już portugalski *businessman* plecie bzdury o sztuce, bogacz czekoladowy dopytuje się o ceny wina, jędze uśmiechają się poczciwie, a anielska seniorita wścieka się na niezdarność kelnera. A wszyscy gadają, gadają, gadają...

I zaraz nieznane i wieloznaczne dotąd twarze obcych zaczynają pękać w zwyczajnych, niemądrych śmiechach, niepotrzebnych zwierzeniach i płaskich myślach, które brzmią jak bluźnierstwa na Oceanie.

Ludzie napęczniali swą ubogą treścią wydawali się dotąd pełni, ale oto już zdążyli się porozlewać w kieliszki z czerwonem winem i poznało się ich smak: jest taki sam, jak tysiąca bylejakich ludzi znanych nam z własnego kraju.

Tylko... Tylko obca rzeczywistość łatwiej narzuca nam się jako nieodparta. Tylko cudzoziemskie głupstwo i banalność ma inny kolor powierzchni. Tylko chytrzej nam się chowa za maską obcych języków...

BEŁKOT ZACHWYTU

Pewien stary włóczęga dał mi przed odjazdem radę:

— Nie pij nigdy wody, tylko czerwone wino i nie rób znajomości z rodakami zagranicą.

Nie zawsze go słuchałem i często odchorowywałem ten grzech. Ale tym razem na statku niema rodaków. Jestem jedynym przedstawicielem mego kraju i przez pierwszych kilka dni ujadam się z tępymi Francuzikami w beznadziejnej „propagandzie“. Przekonawszy się jednak, że Sofję uważają za dzielnicę Konstantynopola — daję spokój i zapadam w *splendid isolation*.

W podobnej sytuacji jest jakiś botanik czy zoolog holenderski z wielką brodą, który jeszcze nie słyszał o tem, że dziś nawet uczonym wypada golić zarost. Holender jest nawet w gorszej sytuacji niż ja, bo nie zna języka francuskiego, niemieckim mówi tak, że nie może go zrozumieć nawet komisarz statku, który pono zna sześć języków. Tylko po angielsku mówi doskonale, jak zapewnia fryzjer, który ma za sobą jeden rejs na angielskim statku.

Mimo to najczęściej przebywam właśnie z Holendrem, który niewyraźnemi mruknięciami porozumiewa się ze mną i uśmiecha się znacząco, gdy Francuzi robią coś nazbyt francuskiego.

Pewnego wieczoru, podczas codziennego obrządku dancingu, Holender konspiracyjnie wślizguje się do salonu i wywołuje mnie na pomost. Tajemniczemi ruchami pokazuje mi fale rozchodzące się od okrętu, jakby namawiał mnie do skoku w ciemność. Nic nie rozumiem, nic nie widzę: oczy mam jeszcze pełne świateł salonu. Ale po chwili przejrzałem: całe morze mieni się zielono-złotym połyskiem i migotaniem, jak próchno, świetliki i rozpuszczony bronz z patyną.

Nie mogę mówić: to jest bajka, której nikt nie opisze, ani nie namaluje. Holender pomrukuje dumnie i pokazuje coraz nową falę płynnego cudu. Aż naraz przerywa się w nim jakaś tama i zaczyna szybko mówić. Mówi zupełnie bezczelnie — po holendersku, i wcale nie troszczy się o to, że go nie rozumiem. Kończy jakiemś pytaniem, na które ja znowu odpowiadam mu po polsku. On kiwa głową: rozumiemy się.

Czyż nie wszystko jedno jakim bełkotem zachwytu sławić Boga i cuda życia?

MARYNARKI I PLUSZE

W Hiszpanji powinni zabronić noszenia naszych zwykłych, bezsensownych marynarek, kołnierzyków i meloników. W Hiszpanji nie powinno być hoteli z meblami obitemi czerwonym pluszem. A tymczasem...

O świcie wypadamy z portu na miasto, wydane nam na łup sennie i bezbronnie. Czyhamy na toreadorów, wysokie grzebie-

sposób sprawdzać naiwne dokumenty. Po rewizji medycyny z pożółkłej schedy hagjografów nie zostało niemal nic: papierowe cienie świętych rzekłbyś rozprysły się pod skalpelem.

Szkoła Williama Jamesa podjęła się rekonstrukcji, jak dziś możemy stwierdzić— dziwnie nieścisłej i pełnej kompromisów. Protestanckie stanowisko nie pozwalało mu wyjść z zaczarowanego kręgu pragmatyzmu, *eksperymentu i przeżycia:* i tu „fenomen" odgrywał większą rolę niż treść; pod tym względem William James podaje jeszcze rękę starym hagjografom. Ale wyłom „psychologiczny" został dokonany. Problem „świętych" powrócił na warsztat naukowych badań — już nie pod kątem historji *zewnętrznej*, ale jako „dzieje duszy". Dziś jest to problem modny, drążony na wszystkie sposoby — zniekształcany *ad usum scientiae*, wysługujący się psychoanalizie (cf. Jung *Menschliche Typen)*, jak i psychologji eksperymentalnej. Wypadało, aby w zamieszce krzyżujących się opinij i poglądów doszła też do głosu „rodzina" świętych: wszak nie podlega dyskusji fakt, że jest to „fenomen" o katolickim rodowodzie; hodowany tylko dorywczo na obcym terenie (z wyjątkiem chyba prawosławia, ale tam trwa jeszcze przeważnie stadjum złotej legendy). Z tej potrzeby chwili zrodziła się bogata literatura katolicka, rozpatrująca „zagadnienie" świętych i mistyków nietylko pod kątem widzenia teologji, ale także na płaszczyźnie zwykłej wiedzy o człowieku, przy pomocy tych zdobyczy naukowych, jakie od wieku przyniosła psychologja lub medycyna. Ta robota karczownicza musiała zrazu ograniczyć się do planu statycznego: trzeba było wyłuskać i oczyścić problem, aby móc go rzucić na przekrój historji. Ale tylko konfrontacja faktów, dokumentów i tekstów może nadać teorji ważkość naukową. Takiej konfrontacji, jako jeden z pierwszych, podjął się Bremond. Dzieło jego jest wspaniałą, najskrupulatniej udokumentowaną ilustracją katolickiej teologji mistycznej. Tu właśnie leży punkt ciężkości jego wartości *naukowej*. Dla oka profanów jednak cały ten ogrom erudycji, rozbudowanej z nieubłaganą konsekwencją na rusztowaniu wspólnej syntezy, kryje się pod formą tak pełną łatyńskiej lekkości, wdzięku i humoru, w tak niezrównanym talencie narracyjnym nieraz, że trzeba sobie uświadamiać, że to nie powieść, ani żadna *biographie romancée*. Tak jadalnie może podać trudny temat tylko Latyńczyk z krwi i kości.

Ale po przeczytaniu choćby jednego tomu stajemy wobec pewnych konkluzyj, których sam Bremond nie narzuca — które wypływają same. Wiek XVI i XVII, t. zw. okres „kontr-reformy", był we Francji również okresem niezmiernie głębokiego religijnego życia. Jako pendant okrzyczanego Port Royalu, któremu wyłącznie literatura przyznała prawa cywilne (może na skutek dawnych flirtów Nicole'a z libertynami), istnieją jednostki, grupy, szkoły — zwłaszcza wspaniała, odgrzebana przez Bremonda „Ecole Française", które były nietylko ogniskami ducha religijnego, ale także ośrodkami kultury, języka i stylu. Po przejściu Bremonda, klasyczny wiek francuski domaga się rewizji, obudzenia z martwych wielu zapomnianych, sprostowania różnych sporów, jak sławny spór pomiędzy Bossuetem i Fénelonem.

Ale najciekawszy jest sam kontakt z galerją mistyków i świętych. Przywołani do życia z najtkliwszą miłością, pełną zrozumienia i wyrozumienia, stają przed nami w całej swojej ludzkiej rzeczywistości, tak ściśle sprzęgniętej z ponadludzkim motorem, który każe im mówić, pisać, działać, żyć. Najzwyczajniejsi i niezwykli zarazem, stają przed nami jak pytanie, które domaga się odpowiedzi. Odbronzowieni, wyczarowani z pożółkłych inkunabułów, rozmaici, wielcy i mali niosą w przeróżnych formach jedno wspólne świadectwo, klucz do „metafizyki świętych". Pod tym tytułem, w dwu tomach, które w zbiorze należą do najciekawszych, Bremond ujmuje w całość tę jednolitą, nieumówioną, lecz niezawodnie powracającą naukę „Bożych cierpiętników" (Pseudo-Dionizy Areopagita, θεῖα παθών), która zawsze da się sprowadzić do wielkiego misterjum Łaski, dającej tym, którzy ją przyjmują, udział w życiu Bożem; tu leży klucz modlitwy, będącej w istocie swej odnalezieniem najgłębszej rzeczywistości duszy ludzkiej: *une prise de contact avec quelqu'un qui en moi est plus moi-même que moi*. Ciekawa jest analogja, jaką Bremond przeprowadza pomiędzy głębokiemi źródłami poezji i źródłami modlitwy. „W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy mistykami, przynajmniej potencjalnie, tak jak i wszyscy jesteśmy poetami, dla tej samej przyczyny". Ale najciekawszy jest fakt zgodnej jednogłośności tych świadków przeróżnej kondycji, kultury i wieku, którzy swoje niepowtarzalne i zawsze jedyne (w wydobywaniu tej *jedyności* celuje Bremond) doświadczenie wewnętrzne, do wspólnego sprowadzają mianownika: do modlitwy. Psychologja modlitwy i metafizyka modlitwy, to dwie formy jednego zagadnienia, stanowiącego oś najgłębszych rozważań Bremonda: tem zagadnieniem jest stosunek człowieka do Boga, natura i rodzaj węzłów, które go wiążą z najwyższym Bytem (religja; *religare*—wiążę), geneza i istota religijnego aktu, istota mistycyzmu. Bogactwo świadectw uwydatnia niezawodną konsekwencję doktryny, która dopiero na tem żywem, konkretnem tle przyobleka się w krew i ciało. Dla wielu współczesnych, chorujących na atrofję metafizycznego zmysłu, kontakt z Bremondem jest prawdziwą rewelacją *nieznanego świata*, tem głębiej przejmującą, że pomiędzy tym światem a ich duszą zagłuszoną istnieje jakieś tajemne przymierze, zdradzone powinowactwo.

Heard melodies are sweet, unheard
Are sweeter...

Wielka zasługa Bremonda jest właśnie w tem, że z pomocą żywych dokumentów, sięgających samego dna prawdy ludzkiej, wzbogacił naszą *wiedzę o człowieku*. To też nie zrobimy mu zarzutu, którym go raczą niektórzy uczeni współbracia, że zbyt często daje się unosić prowansalskiemu chochlikowi humoru, że nieraz dworuje sobie lekko z różnych świątobliwych osób, że ani na chwilę nie grzeszy „bronzownictwem", że lekkością swoją i formą wytworną udaje dyletanta. Rzeczywistość ludzka jest wielobarwna, pełna tragizmu i humoru i święci wywodzący się z ludzkiej gleby, bliżsi są nam swoją powszedniością, niż tajemniczym skarbem, który obnoszą, jak my, w naczyniach glinianych, ale który znają najgłębszą samowiedzą. Parafrazując słynne zdanie Bremonda, możaby rzec: *Le croyant c'est un chrétien qui se connait — l'incroyant, c'est un chrétien qui s'ignore.*

Dla nas, Polaków, kontakt z dziełem Bremonda może stać się bodźcem do zdrowego współzawodnictwa. Bogate źródła religijne naszego „złotego wieku" leżą dotychczas odłogiem, jako „tabu" historyków i literatów. Jest to dziś teren dla karczowników, ale wart największego trudu.

MARJA WINOWSKA

Z POZNANIA

Nie byłam w Poznaniu od czterech lat. Z ciekawością mu się przyglądałam. Gdy długo nie widzimy kogoś bliskiego lub nawet tylko znajomego, wpadają nam odrazu w oczy zmiany, które czas wyżłobił na jego twarzy.

Tak się zdarzyło tej ostatniej jesieni, gdy z okazji prapremjery Marcholta, zobaczyłam Lwów po przeszło dziesięcioletniej niebytności.

O jakże był niepodobny do tego Lwowa przedwojennego, który najmocniej może wrył mi się w pamięci: pierwsze miasto w Polsce, które poznałam — ośrodek wówczas życia kulturalnego całej dzielnicy. Szybki prąd życia aż się przelewał w nim poza brzegi. Pozostał z niego wąski wysychający coraz bardziej strumyczek. Stolica ogałaca pospiesznie swoje miasta kresowe, jak polip wciąga w siebie wszystko co znajduje w nich najlepszego. Jaki ma w tem cel? W Warszawie jest coraz ciaśniej, jak na jarmarku, tłok uzdolnionych ludzi, którzy z braku miejsca coraz nieufniej boczą się na siebie. Miasto ludzi, którzy się zawsze spieszą, nie zawsze wiedząc poco i gdzie. Miasto, które nie ma twarzy i nie wiem czy prędko ją zdobędzie, bo żyje wciąż na zewnątrz, trochę na pokaz.

W tym teraźniejszym Lwowie tak cichym i tak przytłumionym (gdzie jedynie dobry teatr stwarza pozory wielkiego miasta) odkryłam jednak coś, co przedtem, gdy nie posiadałam skali porównania, nie rzucało mi się tak wyraźnie w oczy: wewnętrzną postawę jego mieszkańców, którą zachowali niezmienioną, i która widocznie jest od nich nieodłączna, ich własna. Ludzie tam mają otwarte serca. Mocny powiew wiatrów kresowych, lecących ze wschodnich równin, przemocą wtargnął do ich wnętrz i otworzył wszystkie ich drzwi. Ci ludzie zdają się jakby wciąż przysłuchiwać, czy ktoś nie woła o ratunek, czy ktoś nie woła pomocy i palce ich rąk jakgdyby błądziły jeszcze wciąż po rękojeści niewidzialnej broni, aby być w pogotowiu w chwili niebezpieczeństwa...

W Krakowie natomiast, gdy w nim bawię, widzę przedewszystkiem mury, a potem dopiero ludzi. Mury są piękne, lecz nie wtedy, gdy przytłaczają życie. W Krakowie ludzie lubią temi murami się osłaniać. Nie łatwo ich stamtąd wyciągnąć. Nie jest to miasto skore do porywu.

Poznań! spostrzegłam w nim duże zmiany, i to zmiany bezwarunkowo korzystne. Przedewszystkiem na ulicach, w kawiarniach dużo pięknych i elegancko ubranych kobiet. To bardzo zdobi każde miasto, daje mu wygląd świąteczny. Poznań robi wrażenie miasta, które kulturalnie się rozwija. Czwartki

---

nie, mantyle i koronki, gitary i szpady lub przynajmniej sztylety. Nic z tego.

Przebiegamy ulicę za ulicą, skradając się za każdym rogiem, aby przychwycić Hiszpanję na gorącym uczynku. Ale uczynki Hiszpanji są letnie. Zrezygnowani zasiadamy w modnej, „europejskiej" kawiarni i pijemy posłusznie białą kawę ze świeżem pieczywem.

Moja towarzyszka, zwinna Belgijka, jest pół-krwi Flamandką, umie się więc zdobyć na trochę germańskiego sentymentu. Mówi z żalem:

— Ależ w takim razie nie było poco wyjeżdżać!...

Spinam swoją energję ostrogą i zanurzamy się jeszcze w wąskie uliczki starej dzielnicy. Może tu, w oddaleniu od samochodów, lamp łukowych i wielkich witryn znajdzie się rąbek duszy starej Hiszpanji?

W ciasnej ulicy, gdzie żaden wóz nie mógłby się zmieścić, widzimy zamorusane dzieci, opasłe koty i moc sklepików spożywczych. To jeszcze nie to.

Zaglądamy na podwórze jednego domu: ciemne oficyny, odrapany śmietnik i stojak do trzepania dywanów. Jak wszędzie, jak gdzieindziej...

Tylko zamiast woni smalcu, sznycli i kapusty — czuć okropny odór oleju i oliwy. Nawet brama podobna jest do jakiejś obrzydliwie znanej bramy w innem mieście.

— Standard! — syczę przez zęby.

W mojej towarzyszce odzywa się racjonalizm francuski:

— Cóż? — Standard jest tańszy! — mówi.

Wracając do portu, natykamy się na wielki afisz kinowy: José Mojica śpiewa w filmie p. t. *Espada*, jako toreador. Czarnobiałe, kontrastowe fotografje wydobywają na jaw światłocień starych hiszpańskich *patio*, rzeźbionych studzien, ciętych w kamieniu twarzy *caballeros* i koronkowych mantyl seniorit.

— Tu się skryła egzotyka wypędzona z życia! — wzdychamy. — Tu jeszcze tylko żyje...

SZLACHETNY CUDZOZIEMIEC

Lizbona pojawiła się naszym oczom nad ranem, jako różowa i niebieska wizja miasta. Nie widzimy, aby opierała się na ziemi: wyrasta poprostu z pastelowych chmur.

Podjeżdżamy bliżej. Na przystani oszałamiają nas archaiczne dzioby bajecznie kolorowych łodzi i — szoferzy.

Łodzie fotografujemy ze wszystkich stron i uspakajamy się nieco: wydaje nam się, że wywieziemy w swoich czarnych pudełkach ten piękny wycinek nieznanej rzeczywistości.

Ale szoferów nie można pozbyć się fotografją: zasypują przyjezdnych potokami wymowy i cenami w eskudach. Pasażerowie poddają się: zapłacą, ile im każe szofer za przejażdżkę po mieście. Zapłacą, bąkając coś nieudolnie mieszaniną wszystkich języków świata. Zapłacą, bo wstydzą się, że są tak zabawnie niezaradni. Że nie rozumieją najprostszych słów, po kilka razy powtarzanych. Że nie znają miasta, cen i zwyczajów.

Bojąc się śmieszności — muszą zgodzić się na granie roli „szlachetnego cudzoziemca", który ciągle, za wszystko i wszędzie płaci. *Gentleman c'est un homme qui paye* — jak drwią Francuzi. Zapłacą, choć słoneczna wizja obcego miasta przygaśnie im nieco w oczach. Ich entuzjazm wymienią tu sprawnie w kantorze wymiany na miejscową walutę.

Ze złośliwą nieco radością czekam, aż szoferzy porwą cały tłum nerwowych pasażerów. Wtedy dopiero wystrzelam niespodzianie swoją znajomością języka:

— *Caro!* — rzucam niedbale szoferowi w odpowiedzi na jego propozycję. — *Quer cinco escudos?*

— *Està bom!* — godzi się odrazu na połowę ceny, a po chwili mruga okiem w stronę reszty pasażerów i sapie lekceważąco:

— *Estrangeiros, nao é?*

Lizbona wyciągnęła z przybyszów wszystkie eskudy i wiele franków za prawo obejrzenia panoramy miasta z tradycyjnego wzniesienia, za zwiedzenie niepotrzebnego muzeum karet królewskich oraz kupno kilku par kastanjetów.

— Za niczem nieuzasadnione gapiostwo oglądania obcych miast, zamiast mieszkania spokojnie w swojem — trzeba płacić karę — myślą „zwiedzani" ludzie Południa.

FILOZOFJA

Jest czternasty lipca, więc wszyscy przebierają się z dziecinną radością w błazeńskie kostjumy i szaleją po statku. Każdy kostjum musi być coprawda obszernie wyjaśniany, ale to nic: chodzi przecie tylko o to, żeby się wykrzyczeć, wyśmiać, wytańczyć na chwiejącej się podłodze, wycałować na ciemnym pomoście i wypić niezliczoną ilość wina i cocktailów...

Francuzi z kolonij przerażają swych rozsądnych ziomków europejskich: piją, nie licząc się z kosztami zabawy, awanturują się — doprawdy — zgoła po rosyjsku i po rosyjsku też filozofują.

Jeden z nich, przebrany niedbale za Araba, dolewa mi coraz szampana i zwierzeń. Opowiada coś tajemniczo o różnicy czasu w różnych częściach świata i podnosi wgórę palec:

— Tego nikt nie może zrozumieć! — triumfuje. — Nikt! Ani czasu, ani przestrzeni! Przed tygodniem byłem jeszcze w swojej faktorji i myślałem o tem, że będę jechał statkiem i pił szampana. A teraz jadę statkiem, piję wino i myślę o tem, że byłem na faktorji i myślałem, że będę na statku... Tfu!..

Znana, dokuczliwa myśl, parodja filozofji, która tylko dla niepoznaki przybrała wygląd pasażera!.. Nie zwiedzie mnie! Oglądam się uważniej: rzeczywiście Francuza niema już koło mnie. Zato siedzi obok mnie Niemiec, którego snobizmowi dogadza picie francuskiego szampana, i Francuz, którego snobizmowi potrzebna jest szkocka *whisky* z wodą sodową.

Ach, ta *whisky*, podawana we wszystkich powieściach egzotycznych! Zwyczajna „przepalanka" i do tego zmieszana z wodą sodową... Pijemy ją obaj z obrzydzeniem, tylko ze względu na lód i słomki. Potem klniemy ją ohydnie, bo kręci nam się już wszystko dokoła i chwyta nas angielski *spleen*. Gdybym był malarzem — namalowałbym może obraz pod tytułem: „Widok pokładu przez pryzmat *whisky and soda*". Ale nie jestem malarzem i nie mam ochoty filozofować. Przerzucam się grubjańsko na piwo i zaraz zasypiam.

DOKUMENTY

Bardzo wczesnym rankiem coś nas budzi w naszych wąskich kojkach. Nie, nie żaden hałas, lecz właśnie brak hałasu: umilkła śruba okrętowa, która była dotąd tętnem tej wielkiej ryby, która nas wiezie w swem wnętrzu, jak Jonaszy współczesnych.

Puls nie bije, więc zrywamy się niespokojni, jak ci młynarze, którzy krzyczą: „A Słowo stało się!"...

I rzeczywiście jakieś słowo, jakieś marzenie stało się ciałem: wpływamy do nieznanego portu. Być może, że port ten istniał i przedtem, zanim my go zobaczyliśmy, ale jest o wiele prawdopodobniejsze, że powstał dopiero przed chwilą — dla nas.

To nic nie znaczy, że są tu takie właśnie budynki, a nie inne; że ciągnie nas barka z czerwonym pasem na kominie, a nie zielonym i że w porcie stoją trzy czarne transportowce i żółty olbrzym pasażerski. I we śnie zdarzają się takie niepotrzebne, niezamierzone dokładności szczegółów, ale wiadomo przecież, że wszystko to mogłoby być zupełnie inaczej.

Ale dobrze — niech będzie. Z niedowierzającemi uśmiechami na twarzach wylegamy w pyjamach na pokład i wmawiamy w siebie wzajemnie: — To już Afryka.

Maleńka barka, bardzo zadufała w sobie, ciągnie naszego olbrzyma i ostrożnie przypiera go do molo. I w tej samej chwili spadają liny, łańcuchy, trapy, schodki... Jesteśmy schwytani. Stajemy się na chwilę cząstką, śmiesznie małą cząstką, lądu afrykańskiego.

Ludzie, których widzimy na molo, wzorują się w swym wyglądzie na egzotycznych filmach, co nas odrazu nastraja ufnie i radośnie. Biali chodzą w korkowych hełmach, krótkich spodeńkach harcerskich i mają zawinięte rękawy. Murzyni mają tyle dobrego gustu, że nie udają białych, jak to się dzieje w obu Amerykach, lecz otwarcie przyznają się do swej czerni nagością świecących torsów i wełnistością czupryny. Czerwone fezy, długie koszule i płaszcze, kolorowe perkaliki kobiet i bransolety dopełniają stylu. A więc wszystko w porządku.

Barwy krajobrazu skomponowane są trochę symplicystycznie, ale przekonywająco: szarawo-błękitne niebo, żółty pas lądu i zielone tło wody. Wiadomo, że tak właśnie powinna wyglądać Afryka. *O key!*

Z chwilą gdy schodki opadają, cały ten niemy film staje się naraz dźwiękowcem: murzyni bełkoczą, chrypią, śmieją się, klapią wargami i zgrzytają zębami, a wszystko to naraz ma być francuszczyzną. Ci namiętni sprzedawcy migają nam przytem palcami przed twarzą, jakby dokonywając zaklinań z jakiejś czarnej (bardzo czarnej!)

literackie w Pałacu Działyńskich ściągają tłumy publiczności. Przyświeca im widocznie gwiazda pomyślna. Przyznał to sam prezes i główny organizator tych czwartków p. Kosidowski: „że wszystko co się urządza w Pałacu Działyńskich ma zawsze widoki powodzenia i znajduje oddźwięk" (przytaczam własne jego słowa). Lecz nie wiadomo czy dzieje się to za pośrednictwem jakiegoś ducha opiekuńczego, który chowa się dyskretnie w starych tych murach, czy działa tu raczej szczęśliwa gwiazda, towarzysząca poczynaniom na gruncie Poznania p. Kosidowskiego. Faktem jest, że czwartki literackie wprowadziły ożywienie w środowisko intelektualne Poznania. Dyskusje, które się odbywają na tych czwartkach po odczytach prelegentów, są zwykle nazajutrz, a czasem i przez kilka dni szeroko komentowane w salonach i na przyjęciach. Jeżeli nawet poziom tych dyskusyj nie zawsze jest jednakowy, sam fakt, że ludzie chcą dyskutować i mają sposobność to robić, posiada duże znaczenie.

Muszę wyznać, że jest jedno miejsce w Poznaniu, gdzie czuję się wyjątkowo dobrze jak u siebie w domu. Muzeum Miejskie, którego kierownikiem jest p. Zygmunt Zaleski. W tem muzeum została umieszczona Bibljoteka Kasprowicza, nad którą p. Zaleski roztacza serdeczną opiekę. I właśnie tam w przylegającej do Bibljoteki salce odbyło się pierwsze zebranie Towarzystwa Literackiego imienia Kasprowicza, które będzie miało na celu zaopiekowanie się duchową spuścizną po poecie, tam zgromadziło się dnia 6 lutego dużo miłośników jego poezji. Drzwi do sali bibljotecznej były otwarte. Pan Zaleski kazał tego wieczoru zapalić naftową lampę, zawieszoną pośrodku tej izby zakopiańskiej, w całości, z meblami i obrazami, przewiezionej do Poznania. I na chwilę iluzja stała się zupełna: była to Harenda! za ciemnemi szybami okien zamajaczyły jakby kontury górskich szczytów i ktoś nachylił się nad wielkim stołem i otworzył jedną z leżących na nim oprawnych w skórę ksiąg...

W pokoju, gdzie się odbyło zebranie, znajduje się gablotka a w niej manuskrypty Kasprowicza, pięknie oprawne przez p. Kuglina. Poznałam p. Kuglina dopiero teraz, chociaż zachwycałam się już dawniej jego pracami. Ostatnio jego ciekawym i bardzo oryginalnym układem graficznym *Pieśni Wieczornej*, wydanej w niewielkiej ilości egzemplarzy: „Dla siebie" jak wyznał p. Kuglin. Ciekawy człowiek! Trudno pogodzić się z myślą, że z tymi wszystkimi tak mi bliskimi duchowo ludźmi mogłam zetknąć się tylko w przelocie i że napewno nie prędko się z nimi znowu zobaczę. Zespół ludzi, których oprócz wzajemnej sympatji, łączył jeszcze wyjątkowy ich stosunek do poety.

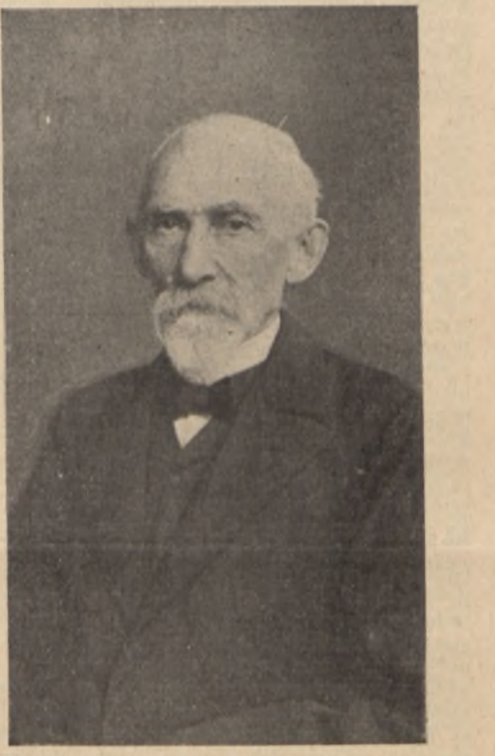
Nie dziwi mnie, że zamieszkał w Poznaniu, i to od wielu lat, taki poeta jakim jest Stanisław Bąkowski. Nie jest Wielkopolaninem, a jednak z usposobienia i charakteru swego talentu pokrewny Kasprowiczowi, który wyrósł na tych równinach; zamknięty i milczący jak i on, całego siebie przechowuje wyłącznie dla poezji, wyżywa się w niej ofiarnie i bez reszty. Jest w nim skupiona powaga mnicha i jednocześnie nieukojona jakaś zmysłowość, która znalazła swój wyraz poetycki w szalonej wyprawie *Lotnika niezłomnego*... A w *Gawędach z Panem* odzywają się te same co i u Kasprowicza tony: te same bunty człowieka, który umiejąc wielbić, dużo żąda i wymaga od Umiłowanego.

Natomiast zupełną niespodzianką na gruncie Poznania jest inny poeta—Jan Staudynger. Ześlizgnął się na te równie ze swoich Beskidów i napewno sam jest zdziwiony, że pod nartami zamiast puszystego iskrzącego śniegu ma twardy grunt gleby wielkopolskiej. Nie traci jednak humoru, przypina sobie i tutaj skrzydła na nogi i próbuje zjazdów na torach saneczkowych urządzonych dla dzieci. Dopomaga mu wyobraźnia... Zresztą jestem pewna, że najlepiej się czuje w towarzystwie dzieci, dlatego z takim zapałem propaguje swój ulubiony teatr marjonetek, dla którego pisze poetyckie sztuki.

Zaczęłam mówić o dzieciach i na nich skończę ten pobieżny szkic swoich niestety za krótkich wrażeń poznańskich i jednocześnie pożegnanie z tem miastem. Wspominałam w nim tylko o niektórych „dorosłych", o ludziach, z którymi zetknęłam się osobiście. Lecz, wyznaję, miałabym wielką ochotę powiedzieć coś o „wszystkich" dzieciach, zamieszkujących Poznań. Bo Poznań jest dla mnie przedewszystkiem m i a s t e m d z i e c i. Widzi się je wszędzie: na ulicy, w tramwajach, w domach gdzie się bywa. Wybierając się w czasie swego pobytu na jakąś nową wizytę, z góry zadawałam sobie pytanie: ile oni mają dzieci? Nie przychodziło mi nawet do głowy, że „oni" mogą nie mieć ich wcale. I tak się jakoś złożyło, że się nie myliłam, że zawsze te dzieci były... Gdzieindziej dzieci się chowa, zamyka się je w osobnych pokojach, zdala od dorosłych, wysyła się je na spacer, aby nie przeszkadzały. W Poznaniu dziecko wysuwa się na plan pierwszy. Rodzice zajmują wobec niego dyskretną postawę, zdają się ustępować mu miejsca już zawczasu. Jakgdyby chcieli powiedzieć: niedługo oddamy wam głos...

MARJA KASPROWICZOWA

W O J C I E C H   G Ó R S K I



Wojciech Górski

W jednym z listów Norwida do Bohdana Zaleskiego, pisanych pod wrażeniem manifestacyj warszawskich 1861 roku, znajduje się krytyczna uwaga o naszem pojmowaniu poświęcenia za ojczyznę. „U nas — pisze Norwid — poświęcenie to jest dopiero, ażeby umieć stracić wszystko dla sprawy... ale u nas jeszcze nie pojmuje się poświęcenie, jako zależące na tem, aby wszystko zyskać dla sprawy. I dlatego jest popiół".

Ktokolwiek znał bliżej ś. p. Wojciecha Górskiego, ktokolwiek zdawał sobie sprawę z tego, jak rzadkiem zjawiskiem w naszem społeczeństwie jest człowiek takiej woli, takiej wytrwałości i siły charakteru, ten łatwo uświadomi sobie, że i zarzut Norwida j e m u nie mógłby być postawiony. Całe niemal życie Wojciecha Górskiego upłynęło w walce i poświęceniu, którego celem miało być zyskanie wszystkiego, co tylko można, dla sprawy. Wielkiem i podziwu godnem jest oczywiście każde poświęcenie, ale czasem łatwiejsze bywa pójście na śmierć, efektowne stracenie wszystkiego dla sprawy, niż wieloletnia, uparta, nieustępliwa walka pozycyjna z wrogiem, aby ocalić i zyskać dla sprawy wszystko, co w danych warunkach jest możliwe. Bohaterem takiej zaciętej i nieubłaganej walki o duszę polskiego dziecka był przez większość swego życia Wojciech Górski. Choć nie brał nigdy udziału w konspiracji politycznej, ale na swój sposób był konspiratorem. Nauczył się, jak ów syn „Matki Polki" za radą Mickiewicza, „pod ziemię kryć z gniewem i być jak otchłań w myśli niedościgły", dlatego mógł się powierzchownie sądzącemu człowiekowi wydawać oportunistą czy ugodowcem, ale zato tam, gdzie go nie mogły dosięgnąć szpiegowskie oczy i mściwe ręce wroga, przeprowadzał swą zwycięską wolę, budził i utrzymywał wiarę, krzepił przykładem własnej niezłomnej wytrwałości. Przez 63 lata pracował na polu pedagogicznem, przez 58 prowadził stworzoną przez siebie szkołę; przeszło dwie trzecie tego czasu przypada na okres niewoli, gdy tak pracować, jak Wojciech Górski, znaczyło w duchu słów Norwida poświęcać się twórczo i skutecznie.

I tak mógł czynić tylko człowiek niesłychanej woli. Ileż to razy ludzie, patrzący zbliska czy zdaleka na pracę tego człowieka, określali go epitetami w rodzaju: niespożyty, niezłomny, nieugięty, niezmordowany, a wszystkie te słowa, zaczynające się od przeczenia, miały być wyrazem podziwu dla czegoś najbardziej pozytywnego i twórczego — dla woli i temperamentu Wojciecha Górskiego. On sam lubił czasem przypominać, że pochodzi z rodziny kozackiej, uszlachconej w XVII wieku za zasługi, które jeden z jego przodków wyświadczył Rzeczypospolitej w dobie buntu Chmielnickiego. Temu pochodzeniu przypisywał swój bujny temperament, rozmach i porywczość, miarkowaną jednak dzięki opanowaniu woli i dzięki mądrości życia. To znów żartobliwie nawiązywał do faktu, że jest Mazurem, a wszak „w Mazurze taka dusza, że choć umrze, to się rusza". Znał więc dobrze bogactwo i możliwości własnej natury, rozumiał też doskonale psychologję młodych, bo sam zachował wiele cech młodości do ostatniego tchnienia.

Jednem z tych znamion młodości była ruchliwość jego umysłu. To był ciekawy przykład „ducha — wiecznego rewolucjonisty". Doskonale rozumiem, że słowa te mogą się wydać przesadne czy śmieszne tym, co biorąc pod uwagę przywiązanie Wojciecha Górskiego do katolicyzmu, do tradycji i do konserwatywnych stronnictw politycznych, uważają go za wcielenie ducha zachowawczego. Niemniej będę dalej twierdzić, że w tej dziedzinie, która była właściwem polem życiowej twórczości Wojciecha Górskiego, a więc w dziedzinie wychowania, był to umysł rewolucyjny, wiecznie szukający, zawsze gotowy do podejmowania prób nowych, pełen pomysłów świeżych i śmiałych. Nie jestem teoretykiem pedagogji i nie podejmuję się oceniać na tem miejscu olbrzymiego wkładu czynów i myśli, wniesionych przez Wojciecha Górskiego do dziejów polskiego wychowania, ale stwierdzić muszę to, co sam widziałem, naprzód jako wychowanek gimnazjum Wojciecha Górskiego, a potem jako nauczyciel, rozpoczynający w tejże szkole swą praktykę pedagogiczną. W tej uczelni więc zawsze się coś działo, co roku dokonywały się jakieś zmiany, czyto w organizacji pracy, czy w strukturze gmachu. Ruchliwość i zmysł organizacyjny kierownika szkoły widne były już dla każdego sztubaka. Tem silniej rzucały się w oczy nauczycielom, jako współpracownikom i realizatorom niezmordowanej pomysłowości dyrektora. Nie koniec na tem, Wojciech Górski nieustannie pracował i nad teoretycznem uzasadnieniem swoich projektów, dużo pisał, okazując na każdym kroku swe nowatorstwo i śmiałość umysłu, dalekiego od jakiejkolwiek rutyny czy stężałości pojęć.

Jako typowy człowiek czynu, okazywał się zwierzchnikiem dyktatorskim i wymagającym. Imponował pracowitością, przemyśleniem szczegółów organizacyjnych, zdumiewającą pamięcią ludzi i rzeczy, słowem — tem wszystkiem, co musi stanowić nieodłączną cechę wodza i rozkazodawcy. Miał prawo żądać posłuchu; był z rasy tych, którzy się rodzą poto, aby kierowali całemi zastępami innych ludzi. W życiu osobistem surowy dla siebie, ascetycznie wyzbyty z pospolitych ludzkich słabości, żył tylko szkołą, która była najukochańszem dziełem jego życia. Ta miłość do szkoły i zapamiętanie się w pracy pozwoliły mu przetrwać długi szereg ciosów, jakie nań spadały w życiu rodzinnem. Sądzone mu było wszak przeżyć śmierć ukochanej ponad wszystko żony i czworga dorosłych dzieci, a wśród nich syna, Bohdana Górskiego, który rozmachem myśli i żarem temperamentu tak bardzo przypominał swego ojca, był jego chlubą i wcieleniem dumnych ojcowskich nadziei. A jeśli mógł to wszystko przetrwać, to dlatego, że dana mu była łaska wielkiego ukochania i wielkiego poświęcenia się dla sprawy, której służył. Bo nie był to człowiek twardy w uczuciach swoich. Przeciwnie! Należał do tego typu ludzi, co pozorną twardością a czasem i szorstkością pokrywają głębię swego wzruszenia. Ciekawym szczegółem jego młodości jest fakt, że najulubieńszą książką była dlań *Marja* Malczewskiego: nie rozstawał się nigdy z egzemplarzem tego poematu, na noc kładł go pod poduszkę. Dziwnem się to pewno wyda tym, którzy przywykli myśleć zawsze o Wojciechu Górskim jako o twardym i surowym realiście.

Tajemnicą jego oddziaływania wychowawczego na uczniów była poprostu niezwykłość jego indywidualności. W przeciwieństwie do pewnego typu pedagogów, wysmażających przy zielonym stoliku abstrakcyjne „metody" wychowawcze, Wojciech Górski osiągał wielki wpływ na młodzież dzięki temu, że był taki, jaki był. Żywy przykład tej niesłychanej pracowitości i żelaznej woli robił swoje. Dzięki temu można było obserwować dosyć rzadkie zjawisko psychologiczne. Wychowańcy, którzy podczas pobytu w szkole nie poddawali się jego wpływowi, albo usposobieni byli niechętnie i opozycyjnie wobec dyrektora, gdy wchodzili w życie, gdy je poznawali coraz lepiej, nabierali coraz większego szacunku dla swego dawnego wychowawcy, zaczynali go podziwiać i ulegać sugestji tego charakteru. Na dłuższą czy krótszą metę Wojciech Górski zawsze zwyciężał. Jego wpływ wychowawczy zaczynał się w szkole, ale rósł i potężniał w życiu dawnych uczniów. Wspomnienie jego cnót, składających się na ideał prawdziwej męskości i niezłomnego męstwa, szło za każdym z byłych wychowańców szkoły i krzepiło w chwilach klęski i słabości. Wojciech Górski wiedział o tem i najżywiej interesował się losami swych dawnych uczniów. Pamiętał wszystkich, co się przewinęli przez jego szkołę, cieszył się ich powodzeniem i rozgłosem, umiał być ich przyjacielem, niezależnie od zgodności czy różnicy dążeń ideowych między nim i jego wychowańcami.

Niema go dziś między nami, ale wspomnienie takich żywotów, jak żywot Wojciecha Górskiego, staje się zawsze ziarnem nowej legendy. Człowiek ten zresztą już za życia stał się legendą o niezmożonej ludzkiej woli w służbie społecznej dla przyszłości narodu.

KONRAD GÓRSKI

---

magji. To znowu jest międzynarodowy język liczb, pokazywanych na migi.

Tak czy owak, porozumiewamy się doskonale i zaczyna się fantastyczny spektakl targu wschodniego. Wspinając się na zawrotne wyżyny pierwotnej ceny i spadając na poziom cen *plus raisonnables* — jak mówią Francuzi, pozwalamy się wciągnąć w nabywanie tysiąca niepotrzebnych *curiosités*. Kupujemy skórzane poduszki marokańskie, miedziane wytłaczane tace, hebanowe słonie i krokodyle, haftowane chodaki, zabawne, rozszerzone przy końcu szable, czerwone torebki z amuletami, skórki z wężów i piękne, podobne do zakopiańskich, kilimy.

Kupujemy to wszystko, namiętnie kupujemy. Biegniemy nawet do miasta, gdzie polujemy na to, czegośmy nie znaleźli u sprzedawców, a co ma być „charakterystyczne".

I to jest zrozumiałe. My w głębi serca nie wierzymy przecie, że tu jesteśmy. Z chwilą, gdy zniknie nam z oczu ten jaskrawo malowany port, pełen białych kasków i czerwonych fezów, zwątpimy, żeśmy tu kiedykolwiek byli. Jakże opowiadać sobie w szarudze naszego klimatu kolorowe bajki wspomnień, gdy nic nam nie potwierdzi tej niespodzianej przygody?

Abyśmy mogli wierzyć w ten port, który przyśnił się naszemu życiu, musimy mieć — dokumenty...

NOSTALGJA

Nie jesteśmy wychowani do szczęścia. W najpiękniejszem słońcu, pod najpiękniejszem niebem chorujemy na brzydkie, skryte wyrzuty sumienia. Wmawiamy sobie, że grzeszymy wobec tych, którzy wychodzą teraz na lepką, śliską ulicę, pod uparty kapuśniaczek jesienny. Wmawiamy sobie, że podeptanie naszej radości da komuś szczęście. Wmawiamy sobie, że musimy biec zpowrotem między zgorzkniałych, szaro-brudnych ludzi, aby przebłagać ich, że nie umiemy się śmiać jak my.

Może zresztą zapominamy, że w tamtych brudnych i szarych miastach niema nigdy słońca? Może kusi nas chorobliwa potrzeba przenikania wnętrzności dusz bliskich nam ludzi i obnażania swoich? Może musimy iść w jakiemś wspólnem jarzmie, które za każdym naszym ruchem kaleczy kogoś, a za jego ruchem — kaleczy nas? Może już tak musimy dręczyć się przez kogoś i dla kogoś?

W każdym razie napisaliśmy już wszelkie listy oraz zebraliśmy skwapliwie i zazdrośnie wszystkie nasze dziwaczne zdobycze i zbiory. Odbywamy teraz powrotną, pokutniczą pielgrzymkę po znanej drodze. Jakże nam wszystko maleje i dłuży się wobec naszej czułej, chorej tęsknoty do własnej biedy!...

Nie nauczeni niczem, marzymy zawczasu i układamy sobie, jak to poznawać będziemy i witać znajome miasta i strony rodzinne. Jak to czekać i przyjmować nas będą bliscy ludzie... I — naturalnie wszystko układa się całkiem inaczej: znajome miasta mijamy w nocy, podczas deszczu, a bliscy ludzie źle obliczyli sobie porę naszego przyjazdu i nikt po nas nie wyszedł...

Spotykają nas tylko obojętni i znużeni ludzie obcy, którzy nie wiedzą, że wracamy ze szlochem nostalgji w piersiach i mówią do nas złym, niecierpliwym, opryskliwym głosem. Chcą nam dowieść, że nikt nie potrzebował naszej łaski i poświęcania dalekich słonecznych krajów, których zapewne nawet niema naprawdę.

Jesteśmy u siebie.

EPILOG

Mądrym instynktem ud wżywam się w rytm ciała końskiego: idziemy przez złote ściernisko jako jedno wielkie a skupione zwierzę.

Koło twarzy płyną nam mądre słowa ziemi: smugi przelicznych, zmiennych zapachów.

Wchłaniamy je pilnie i rozumiemy głęboko. Żałujemy każdego kroku oderwanego od ziemi i jak najszybciej stawiamy zpowrotem podniesioną nogę: nie można nazbyt odrywać się od ziemi — więdnie się wówczas.

Mijamy w skupionem milczeniu podobne nam twory ziemi. Cieszy nas, że rozumiemy się podziemnym nurtem mądrości, obywając się bez pustych, krzykliwych słów.

Przecież wszystko wiemy. Przecież całą mądrość odnaleźliśmy tak blisko! Nosimy ją oddawna w sobie, ślepi stróże skarbów...

JERZY OSTROWSKI

EX LIBRIS

(IMPRESJE KRYTYCZNE)

Chcę się dzisiaj zająć powieściami tłumaczonemi i omówić cały zebrany ich zapas — bez względu na większą lub mniejszą wartość literacką wybranych do przekładu utworów.

Przedewszystkiem muszę wspomnieć o ukazaniu się dalszych ciągów obszerniejszych powieści, omawianych już tutaj po wyjściu pierwszych tomów. A więc wyszedł trzeci i ostatni tom znakomitego pamiętnika z czasów wojny rosyjsko-japońskiej, napisany przez A. N o w i k o w a - P r i b o j a pod tytułem *Cuszima* i doskonale przetłumaczony przez Władysława Broniewskiego. Następnie ukazały się dwa dalsze tomy bardzo ciekawej i doskonale skomponowanej powieści angielskiej *Ulica Magnoljowa* L o u i s a G o l d i n g a; tomy te doprowadzają powieść do końca. Jest to jedna z cenniejszych pozycyj naszej literatury przekładowej, przedstawiająca z wielkim talentem, zarówno co do plastyki jak i co do psychologji, świat żydowski na gruncie angielskim i — częściowo — amerykańskim. Przekład poprawny. Można tylko narzekać na techniczną stronę wydania, wprawdzie bardzo taniego, ale odbitego na tak nędznym papierze, iż trzeba sporej rezygnacji ze względów zewnętrzno-estetycznych przy czytaniu tych trzech tomów.

Z nowych przekładów ukazał się pierwszy tom powieści A l e k s e g o T o ł s t o j a pod tytułem *Eksperyment inżyniera Garina*. Aleksy Tołstoj, współczesny powieściopisarz rosyjski, w swoim czasie emigrant, obecnie od kilku lat mieszkający i tworzący w Rosji sowieckiej, jest autorem dość nierównym. Wymieniona powieść należy raczej do słabszych jego utworów, jakkolwiek temat jej jest bardzo ciekawy, nawet sensacyjny. Eksperymentem inżyniera Garina jest wynalezienie tak zwanych „promieni śmierci", a treść utworu polega na przedstawieniu wszechświatowej walki, toczącej się wokół tego wynalazku, głównie pomiędzy agentami przemysłu zachodnio-europejskiego i amerykańskiego a sowieckim wywiadem politycznym. Sporo tu tajemniczych intryg, w których wielka rola przypada pięknej Zoe Montrose. A jednak jest to naogół wycieczka autora w krainy mniej sprzyjające rozwojowi jego zdolności. Główną siłę Aleksego Tołstoja stanowi talent w zakresie powieści historycznej, zwłaszcza znakomitem jego dziełem jest kilkutomowa powieść o Piotrze Wielkim. Pierwszy tom tej powieści ukazał się już po polsku i w niedalekiej przyszłości będzie na tem miejscu obszerniej omówiony.

Z najnowszej literatury francuskiej przełożono książkę P a w ł a M o r a n d a, noszącą w oryginale tytuł *France la Doulce*. W przekładzie tytuł ten zmieniono na *Maks Kron kręci film*, a to w celu wyraźniejszego zaznaczenia tematu książki. Jest to bowiem powieść na temat stosunków we francuskim świecie filmowym. Stosunki te w przedstawieniu autora wyglądają okropnie. „Pomieszanie narodowości, pogarda dla obyczajowości francuskiej, torturowanie francuskiej mowy i kultury" — oto najważniejsze cechy tego środowiska, któremu Morand wydaje tu zaciętą walkę. Żeby uniknąć zarzutów ksenofobji czy szowinizmu, autor specjalnie zaznacza w przedmowie: „Fauna, która roi się w mojej książce, nie ma nic wspólnego z wielkiemi nazwiskami o międzynarodowym zasięgu, którym okazaliśmy gościnę. Domagam się jedynie dla moich rodaków miejsca, maleńkiego miejsca w świecie filmu francuskiego. Broniąc Francuzów, walczę jedynie o prawa przysługujące mniejszościom". Utwór ma charakter tak zwanego reportażu, zmontowany jest świetnie, i dla czytelnika zainteresowanego tematem będzie bardzo zajmujący.

Z angielskiego przetłumaczono sensacyjną powieść V a l a G i e ł g u d a i H o l t a M a r v e l l a p. t. *Śmierć w radjostacji*. Jest to typowa angielska powieść detektywna, dobrze skomponowana, i tem specjalnie mogąca zainteresować, że jej akcja rozgrywa się na terenie wielkiej stacji nadawczej radjowej. Pierwszy z autorów, Val Giełgud, Polak z pochodzenia, jest jednym z dyrektorów londyńskiego B. B. C. — i w oryginale rzecz się dzieje w stacji londyńskiej. Niezbyt szczęśliwym pomysłem tłumacza było zlokalizowanie akcji w Polsce, w rozgłośni polskiego Radja. Jest to trick obliczony na bardzo niewybrednych czytelników.[1]

Również typową powieścią angielską jest rzecz pani H. Z. S m i t h pod tytułem *Kobiety powojenne*. (Warszawa 1934; „Płomień"). O ile poprzednia powieść jest przykładem średniej miary powieści angielskiej detektywnej, o tyle tutaj mamy znów przykład typowy przeciętnej powieści obyczajowej: rozsądnie skomponowanej, zajmującej, ukazującej w zgrabnych obrazkach różne środowiska londyńskie, a na ich tle wzruszający los kobiety żyjącej w nienormalnych warunkach czasu powojennego — czasu powrotu mężów z armji do domu. Większych zalet artystycznych powieść nie posiada, i właściwie potrzeba tego typu literatury powinna być zaspokajana „wytworami produkcji krajowej", która — zresztą — mogłaby skutecznie konkurować z tego rodzaju „importem".

Znacznie ciekawszą pozycją jest inny przekład z angielskiego, powieść amerykańska F a n n i e H u r s t pod tytułem *Boczna ulica* (Warszawa 1934; Wyd. J. Przeworskiego). Jej przypuszczalną wadą, rzucającą się w oczy już przy wzięciu książki do ręki, jest zbyt wielka objętość: przeszło sześćset stron sporego formatu! Lektura potwierdza to wrażenie zewnętrzne: w stosunku do objętości trochę tu za mało akcji, zdolnej do utrzymania uwagi w jednakowem natężeniu. A jednak ta lektura w ostatecznym rachunku opłaca się.

Boczna ulica jest historją życia Ray Schmidt, córki drobnego kupca w Cincinatti. Życie to widzimy od wczesnej młodości, od 19 jego wiosny. Ray ma wówczas ryzykowne powodzenie wśród kolegów szkolnych i komiwojażerów, dostawców jej ojca. Odtąd patrzymy jak gdyby na każdy dzień tego życia — aż do starości Ray i samotnej jej śmierci w Europie. Ta panna Ray Schmidt pragnie się wszystkim naokoło podobać i uszczęśliwia przelotnemi pocałunkami wszystkich, którzy tego pragną — pozatem jest dobra, prawa (bardzo silne i piękne uczucie łączy ją z ojcem), uczynna, pozbawiona całkowicie egoizmu, ma wdzięk i dużo wrodzonej inteligencji — i marnuje gruntownie całe swoje życie. — Zostaje kochanką bogatego przemysłowca Żyda, który szybko robi zawrotną karjerę materjalną. Ray jest najwierniejszą towarzyszką Waltera Saxela, stale kryjącą się w cień wobec jego prawowitej żony i dzieci, jest jego doradczynią, opiekunką, nie żądającą niczego wzamian — taką „boczną ulicą" w życiu Waltera. Zdaje sobie sprawę z bezgranicznego egoizmu ukochanego człowieka, ale przez myśl jej nie przejdzie, że mogłaby zażądać czegoś dla siebie. Po śmierci Waltera Ray zostaje bez środków do życia, mieszka przez pietyzm dla wspomnień w Aix les Bains, utrzymuje się z gry w kasynie, a raczej z drobnych sum, rzucanych jej przez szczęśliwych graczy; — wreszcie umiera z głodu. — Powieść w pierwszej części daje pięknie opracowany, stylowy obraz życia w małem miasteczku amerykańskiem pod koniec XIX wieku — i to jest może największą wartością artystyczną utworu. Pod względem psychologji jest tu trochę słabiej: ów kontrast wiecznego poświęcenia Ray i gruboskórnego egoizmu Waltera staje się na dłuższą metę zbyt jednostajny i drażniący. Cała rzecz stanowi jak gdyby współczesno-amerykańskie przedłużenie dickensowskiej tradycji powieściowej. Sporo tu jest Dickensa i w samej technice przedstawienia, w życiorysowem, rozciągniętem na długie lata prowadzeniu akcji, i w melodramatycznych często efektach, zwłaszcza we wzruszającym i zarazem okropnym opisie ostatnich lat bohaterki i jej strasznej głodowej śmierci. Kto lubi długie, tak zwane „grube" powieści, starczące na parę dni czytania, i kto lubi wzruszyć się przy tem, a nawet spłakać jak bóbr — jak płakano swego czasu na filmach z Liljaną Gish, czy na *Wschodzie słońca* — ten niech śmiało bierze do ręki okazały tom p. Fannie Hurst.

Bardzo cennym nabytkiem byłoby tłumaczenie powieści J a n e A u s t e n, mało u nas znanej powieściopisarki angielskiej z początku wieku XIX (urodzona w r. 1775, pierwsza jej drukowana powieść ukazała się w r. 1811). Mówię: byłoby cennym nabytkiem, gdyż w tej formie, w jakiej się ukazało (nakładem Wydawnictwa Współczesnego w Warszawie) tłumaczenie powieści *Rozsądek i uczucie* (w oryginale *Sense and Sensibility*) — rzecz jest prawie bez wartości. Utworu z przed stu dwudziestu przeszło lat, przytem utworu autorki, która w swej ojczyźnie ma wielkie znaczenie historyczno-literackie, a u nas zwykłemu czytelnikowi jest zupełnie nieznana, nie można wydawać tak jak powieści współczesnej — bez słowa wstępu czy jakiegokolwiek wyjaśnienia. Czytelnik będzie napewno zdezorjentowany. — Widać tu pozatem, że ani wydawcy ani tłumaczka również nie byli dobrze zorjentowani: świadczy o tem — kiepska zresztą, — ale ultra-modernistyczna okładka, krzycząco sprzeczna z charakterem i stylem utworu, — świadczy również przekład, upraszczający i trywjalizujący styl autorki, w oryginale uroczo wytworny i lekki. Wielka szkoda, że ten bardzo szczęśliwy, choć przypadkowy, pomysł wydawniczy został urzeczywistniony z tak wielkim brakiem koniecznej w takich razach kompetencji historyczno-literackiej.

LEON PIWIŃSKI

[1] Wszystkie dotąd wymienione książki wyszły nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój" w Warszawie.

HISTORJA

LEGENDY I FAKTY

Jedną z charakterystycznych cech współczesnej historjografji polskiej jest, obok pogłębiania naszej wiedzy o przeszłości, coraz częściej występujące dążenie do zrewidowania ustalonych poglądów i, bądź na podstawie nowych źródeł, bądź zapomocą innych metod badawczych, nowe oświetlenie pewnych znamion czasu, ludzi i wydarzeń. „Naród nasz we wszystkich swoich poczynaniach coraz więcej idzie pod hasłem nagiej prawdy dziejowej" — mówi zasłużony badacz przeszłości, prof. Michał Bobrzyński. Wprawdzie to dążenie do obnażania „nagiej prawdy" doprowadza niekiedy do zbyt pochopnych wniosków, niepodobna jednak zaprzeczyć, że wyniki prac rewizjonistycznych w znakomity sposób przyczyniły się do ustalenia poglądów na przeszłość, albo choćby spowodowały ożywioną wymianę zdań i w ten sposób pozwoliły na wszechstronniejsze czy wnikliwsze spojrzenie w mroki dziejów.

To też niezaprzeczoną zasługą prof. Górki było jego wezwanie do zrewidowania „sposobu patrzenia na całość dziejów Polski", oraz dosadne, z rzetelnym talentem, acz ze zbytnią niekiedy skrajnością, przeprowadzenie takiej rewizji na pewnym odcinku historji XVII-go stulecia. Obfita literatura, jaka się wytworzyła wokół poruszonych przez prof. Górkę w związku z *Ogniem i Mieczem* poglądów na „rzeczywistość dziejową", świadczy sama przez się, że wszczęta dyskusja była potrzebna i owocna. Rewizjonizm, obok tradycjonalizmu, którego wagę słusznie podniósł prof. Halecki w *Przeglądzie Powszechnym* (grudzień 1934 r), w zgodnem skojarzeniu stanowi dopiero o postępie w kształtowaniu sądów dziejowych, które choćby nawet nie były „nagą prawdą", lecz do prawdy takiej podchodzą coraz bliżej.

Nauka historji nigdy zapewne nie doprowadzi do syntezy trwałej i bezspornej, potomność, jak to trafnie przewidywał Lelewel, zawsze krytycznie odnosić się będzie do wyników dociekań ubiegłych pokoleń, — niemniej rewizja *in membris*, prostowanie mylnych szczegółów i uzupełnianie luk w dotychczasowej historjografji zapomocą coraz to nowych badań źródłowych, stanowi o postępie i rozwoju tej gałęzi wiedzy.

Prace naszych uczonych w roku ubiegłym przyniosły wiele takich, niekiedy rewelacyjnych, odkryć i pozytywnych rezultatów badawczych. O paru takich, niepozbawionych w mojem przekonaniu głębszej wartości przyczynkach wspomnieć zamierzam na marginesie niejako wielkiej literatury historycznej.

Zagadnienie autorstwa *Bogurodzicy*, zaprzątające oddawna uwagę badaczy, znalazło nowe oświetlenie w rozprawach prof. Józefa Birkenmajera (druk. w *Ruchu Literackim*, *Pamiętniku Literackim*, *Przeglądzie Katolickim*, *Przeglądzie Powszechnym*). Prof. Birkenmajer wykazuje, że ta najstarsza pieśń polska, *patrium carmen* rycerstwa, zależna jest ściśle w wierszu, stylu i języku od greckich hymnów średniowiecznych, zawartych w liturgji Kościoła Wschodniego; jedynym zaś w Polsce człowiekiem na przestrzeni w. X—XIV, znającym dobrze mowę i literaturę grecką, był przyjaciel i doradca *graeculusa* Ottona III, biskup Wojciech, adept greckiego zakonu bazyljańskiego, a mnich półgreckiego klasztoru na Awentynie, i przytem zwolennik obrządku słowiańskiego. Na podstawie obszernych rozważań prof. Birkenmajer dochodzi do przekonania, że dawna tradycja o autorstwie św. Wojciecha nie jest fałszerstwem ani fantazją, jak to utrzymywali niektórzy badacze. *Bogurodzica* powstała w X wieku, lub na początku XI-go. Autorem jej był św. Wojciech albo któryś z kontynuatorów jego działalności i krzewicieli jego kultu, np. pierwszy arcybiskup gnieźnieński, Radzim-Gaudenty, brat św. Wojciecha.

Imię Wernyhory, tajemniczego wieszcza i jasnowidza ukraińskiego przepowiadającego w czasach Konfederacji barskiej upadek Polski, późniejsze jej walki o niepodległość i wreszcie zmartwychwstanie, pociągało fantazję wielu poetów i artystów, lecz w nauce nie znalazło właściwego oświetlenia. Podjął się tego prof. Witold Klinger, który w rozprawie drukowanej w *Przeglądzie Współczesnym* (październik 1934) poddał wszechstronnej analizie podłoże historyczne legendy o Wernyhorze. Przedewszystkiem stwierdza, wbrew dotychczasowym poglądom, że wszystkie teksty proroctw ukraińskiego lirnika „są odbiciem jednego i tego samego pierwowzoru, w niewielu tylko miejscach, wbrew woli kopistów, bardzo nieznacznym tylko ulegającego skażeniom". Ustaliwszy z możliwą ścisłością całkowity tekst przepowiedni, prof. Klinger udowadnia, że wspomniane w niej wypadki od pierwszych lat panowania Stanisława Augusta do 1830 r. podane są z wyjątkową dokładnością, późniejsze natomiast są zupełnie dowolne i dalekie od prawdy. Ten tak odmienny charakter początku i końca przepowiedni skłania do wniosku, że początek jej, zgodny z rzeczywistością dziejową jest t. zw. *vaticinium ex eventu*, to znaczy fałszywem, podrobionem proroctwem, na podstawie znanych autorowi faktów opartem, lecz do czasów znacznie wcześniejszych przezeń odniesionem Ponieważ rok 1830 jest datą, która oddziela rzeczowe i dokładne informacje części pierwszej przepowiedni od błędnych majaczeń części drugiej, ten zatem rok można uznać za datę jego powstania. Z tego punktu widzenia proroctwo to byłoby apokryfem z bardzo wyraźną tendencją polityczną, obliczoną na szerzenie w społeczeństwie polskiem daleko sięgających nadziei w związku z rozpoczętem powstaniem listopadowem. Taki pogląd na rzekome proroctwo popiera następujący dopisek do pierwszego jego wydania w warszawskim *Patryocie* (z 12 grudnia 1830 r.): „Mamy je (t. j. przepowiednie) z podań ludu w ruskim języku spisanych... Może w sprawie ojczyzny i wolności będziemy mieli szczęście walczyć i umierać na polach naddnieprskich, może nam pomoc tamtejszego ludu będzie potrzebna, siły naszego oręża będą za słabe, — wtenczas użyjmy broni tego proroctwa".

Analizując w dalszym ciągu drugą część słów legendarnego Wernyhory w zestawieniu z wypadkami politycznemi po 1830 r., prof. Klinger stwierdza zupełną niemal ich identyczność z powieścią Czajkowskiego p. t. *Wernyhora* i konkluduje, że nowa wersja „proroctwa" musiała powstać między 1838 a 1848 r., kiedy w Europie i w Polsce zaczęła świtać t. zw. Wiosna ludów.

Aczkolwiek apokryficzność przepowiedni nie może ulegać wątpliwości, sama natomiast postać Wernyhory jest, zdaje się, realna. Był on, podobnie jak hetman Mazepa, przedstawicielem ukraińskiego programu politycznego, widzącego przyszłość stosunków polsko-ukraińskich we wzajemnem sprzymierzeniu przeciwko zaborczym dążnościom Rosji. Autora przepowiedni, zdaniem prof. Klingera, „poszukiwać należy w kole osób, otaczających w Warszawie Seweryna Goszczyńskiego".

Ostateczne wnioski prof. Klingera dadzą się ująć w słowach następujących: 1) polskie proroctwa, z imieniem Wernyhory związane, są apokryfem z doby powstania listopadowego, wyzyskującym powagę znacznie wcześniejszego wizjonera ukraińskiego; 2) nic nie stoi na przeszkodzie do odniesienia jego działalności proroczej do tego właśnie czasu Koliszczyzny i rzezi humańskiej, z którym łączy go tradycja; 3) jego odnoszące się do przyszłości Ukrainy przepowiednie zostały później wyzyskane dla celów politycznych przez naśladowcę polskiego.

Zaklęta w wizje Słowackiego, Matejki, Wyspiańskiego postać Wernyhory nie straci nigdy swej sugestywnej siły symbolu, historja pokaże nam tylko jaka symbolu tego była geneza i realne podłoże.

Kto był kompozytorem naszego hymnu narodowego „Jeszcze Polska nie zginęła"? — pytanie to wielokrotnie było przedmiotem dociekań naszych historyków (Finkel, Korzon, Askenazy, Poliński, Niemojewski, Zetowski). Za najprawdziwszą uważano wersję, że melodję Pieśni Legjonów skomponował znany twórca polonezów, Michał Ogiński. Obecnie w miesięczniku *Muzyka* (Nr. Nr. 6—7, 10—12 z 1934 r.) prof. Łucjan Kamieński w dłuższej rozprawie rozwija tezę, że melodja ta tkwi w prastarych nurtach polskiej muzyki ludowej, ostatecznie, być może, ukształtowanej przez Józefa Wybickiego. „Hymn ten wyśpiewał sobie sam naród, sam lud polski... pieśń ta wyrosła w nim poprzez wieki, niby dąb tysiącletni, pamiętający Mieszka i Chrobrego, a żywotny przecież, wspaniały i jakże młody... Melodja naszego hymnu narodowego pozostaje dziełem zbiorowem, ponadindywidualnem licznych być może pokoleń polskiego narodu i stąd też idzie jej niepożyta wartość, jako narodu tego wyraz, odbicie i symbol".

Styczniowy zeszyt *Przeglądu Współczesnego* przynosi rewelacyjny artykuł Karola Estreichera o *Zniszczeniu polskich insygnjów koronnych*. Około tej niewyjaśnionej dotychczas sprawy powstała cała literatura, niepozbawiona niekiedy posmaku sensacji. Wprawdzie było niemal stwierdzonem, że klejnoty koronne polskie zostały zabrane przez Prusaków podczas okupacji przez nich Krakowa w 1794 r., niemniej szerzyła się legenda, iż korony, berła i Szczerbiec ocalono i że mają się znajdować w bezpiecznem schronieniu. Ta wiara w istnienie insygnjów, przechowywanych gdzieś w tajemnicy i oczekujących na prawego następcę królów polskich, rozpowszechniona była w społeczeństwie naszem do lat ostatnich. Uległ jej nawet Rząd polski w 1920 r. i nakazał poszukiwania we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie rzekomo miały być ukryte. Poszukiwania te nie dały jednak żadnych rezultatów. Legenda mimo to trwała. Przytoczone przez p. K. Estreichera dokumenty z tajnego pruskiego Archiwum Państwowego w Berlinie wyjaśniają całkowicie tajemniczą sprawę naszych klejnotów koronnych. Na ich podstawie możemy odtworzyć z zupełną pewnością smutny los, jakiemu uległy regalja. Z rozkazu króla Fryderyka Wilhelma II zostały w pierwszych dniach października 1795 r. zabrane ze skarbca koronnego na Wawelu i w r. 1811 zniszczone w Królewcu. Z przetopionych koron uzyskano 25 funtów i 27 łutów złota i srebra, perły i drogie kamienie sprzedano. O insygnja polskie upominał się, oczywiście, bezskutecznie, Aleksander I na Kongresie wiedeńskim z racji nowego tytułu króla polskiego. Jeszcze w r. 1834 między dworami pruskim a rosyjskim toczyły się w tej sprawie rokowania, lecz Fryderyk Wilhelm III zataił istotny stan rzeczy, a Mikołaj I musiał się koronować w r. 1829 specjalnie wykonaną dla tego celu koroną. Równocześnie po raz pierwszy pojawia się w druku legenda o tajemniczem uratowaniu insygnjów i przechowywaniu ich w pewnym klasztorze litewskim; podał ją paryski dziennik *Constitutionnel* z 1829 r. P. K. Estreicher wyraża przypuszczenie, że autorami tej legendy byli sami Prusacy, którym mogła być wówczas na rękę.

Takie były losy polskich insygnjów koronnych.

Czy jednak wszystkie zostały zniszczone?

Wszak Szczerbiec wypłynął w 1817 r. wśród dość zagadkowych okoliczności, jako zabytek rzekomo znaleziony przez jakiegoś Ormianina... Może w zbiorach berlińskich uda się jeszcze wyszukać niejeden przedmiot pochodzący ze skarbca wawelskiego. Autor omawianej rozprawy zwraca np. uwagę na mieczyk renesansowy z napisem „Sigismundus Rex Justus", obecnie znajdujący się w pałacu *Mon Bijou* w Berlinie, a dotychczas nigdzie nie opublikowany. Mieczyk ów, należący zapewne do Zygmunta Augusta, jest rzeczowym dowodem rabunku skarbca wawelskiego.

Fakty przytoczone przez p. K. Estreichera godne są najżywszej uwagi...

HENRYK MOŚCICKI

*

Z. LASOCKI: *Czy Skrzetuski był kozakiem?* Kraków 1935. Nakładem autora.

Dyskusja nad historycznością *Ogniem i Mieczem*, wszczęta w *Pionie* przed rokiem przez D-ra O. Górkę, wyświetliła mnóstwo szczegółów, rzucających nowe światło zarówno na romans Sienkiewicza jak na epokę, w romansie przedstawioną. Obecnie zanotować trzeba nowy głos w tej sprawie, doskonały szkic Z. Lasockiego o Mikołaju Skrzetuskim, bo takie imię bohater zbaraski nosił naprawdę. Osobistość to, jak się okazuje, zgoła niepospolita, choć nie zawsze i nie pod każdym względem sympatyczna, bliska awanturniczemu Kmicicowi, niekiedy Wołodyjowskiemu, a całkowicie różna od papierowo doskonałego bohatera, jakim Sienkiewicz zrobił swego Skrzetuskiego. Wielkopolanin z pochodzenia, żołnierz z zawodu, awanturnik z temperamentu, Imć Mikołaj, pod koniec zasłużonego żywota rotmistrz królewski i dowódca chorągwi, która dobrze spisała się w potrzebie chocimskiej, za żywota zwracał uwagę nietylko pamiętnikarzy, ale i skrybów sądowych, trybunalskich i grodzkich. Wędrówkę swą bowiem po aktach, skrupulatnie zbadaną przez autora szkicu, rozpoczyna Skrzetuski od porąbania kolegi, rotmistrza piechoty, w r. 1636. Pijackiej burdzie w ukraińskiej mieścinie dziwić się trudno, gorzej ma się rzecz ze swatami w lat trzydzieści później, przypominającemi raczej napad Bohuna na Rozłogi niż miłosne gruchania pana Jana z piękną kniaziówną w sadzie ukraińskim. Podstarzały kawaler jedzie w ziemi Bełskiej do ciepłej wdówki, zbrojnie obsadza dwór, serce zaś wybranki usiłuje zdobyć w sposób nieco tatarski, bo przy pomocy nahaja. Rzecz jasna, że konkury te wiodą nie przed ołtarz, lecz do grodu. Równocześnie jednak jest Mikołaj Skrzetuski jednym z najświetniejszych zagończyków, w kampanjach bowiem z Chmielnickim w czasach Beresteczka, dalej moskiewskiej, dalej tatarskiej z r. 1671 odznacza się, gromiąc wroga i niezawodnie dostarczając języka, jak to wiemy choćby z opowieści Paska. Pod koniec życia, niedługo przed Chocimem, którego najprawdopodobniej nie dożył, podejmuje się karkołomnych funkcyj wojenno-dyplomatycznych, powierzanych mu przez samego pana hetmana, Sobieskiego, i wywiązuje się z nich doskonale. Jednem słowem, osobistość prosząca się wprost o pióro... sienkiewiczowskie, daleko ciekawsza od kreacji wielkiego pisarza, występuje na kartach niedużego rozmiarami a bogatego treścią szkicu Lasockiego. I na tem, nie na namiętnych akcentach polemicznych, polega jego wartość.

J. K.

T E A T R

ROZMOWA O KRYTYCE TEATRALNEJ

W ostatnim, lutowym numerze *Teatru* ukazał się artykuł J. E. Skiwskiego: *Niepokoje recenzenta.* Być może należy w tem widzieć naruszenie monopolu arykułów dostosowanych *ad occasionem*, służących celom czystego, bezpośredniego utylitaryzmu i zapowiedź przeistoczenia pisma w popularny organ teatrologiczny, w instrument szerzej pojętej propagandy teatru.

Skiwski spowiada się, coprawda z lekką dezynwolturą, ale szczerze, ze skrupułów recenzenckiego sumienia. Zajmuje się sprawą kompetencji, zagadnieniem odpowiedzialności, technicznych utrudnień, funkcji społecznej—recenzenta teatralnego i jego pracy. Nie byłoby lojalnie brać to przygodne wypowiedzenie się za pełne *credo* krytyczne. Zawiera ono przecież kilka punktów zaznaczonych jasno, uprawniających sprzeciw i dyskusję.

Z dawnych artykułów Skiwskiego wiadomo, że tkwi w nim nierozwiązany „kompleks polonisty". W tym artykuliku zdradza się lekko nowa fobja—fobja teatrologa. Skiwski dyskredytuje go, jako krytyka teatralnego, odmawia mu kompetencji: „Teatrolog zaczyna się mniej więcej tam, gdzie widz się kończy... Dla widza każde zaklęcie miłosne, każdy okrzyk gniewu... coś znaczy. I więcej nieraz znaczy fakt, że padł ten okrzyk, niż jak padł, jaki wyraz nadał mu autor."

Przywiedziona analogja z opisem operacji dokonanym przez Choromańskiego i przez chirurga mocno chroma. Zachodzi tu różnica instancyj, różnica punktów widzenia, różnica przeznaczeń tych dwu opisów. Wobec dzieła sztuki takiego rozdziału niema. Wymagamy, aby krytycznie o utworze literatury pisał krytyk literacki, o dziele plastycznem krytyk sztuki. Cenne i interesujące są nieraz dywagacje literackie na temat plastyki, były kiedyś w modzie plastyczne dywagacje na tematy literackie. Nie gniewamy się, jeśli ktoś, jak Konopnicka, pisze wierszem o Chopinie. Z zupełnie odrębną rozkoszą czytamy sprawozdanie Wierzyńskiego o *Śnie nocy letniej.* To jest kategorja *à part*, do której należy Swinburne, piszący o Szekspirze, Rilke o Rodinie, Witold Hulewicz o Beethovenie. Ale z tej niekompetencji czy jakiejś kompetencji wyższego, osobnego porządku nie możemy uczynić zasady dogmatycznej.

Zasada sformułowana przez Skiwskiego w odniesieniu do teatru jest niestety obowiązująca. Boy wyznał kiedyś, że na scenie interesuje go projekcja życia. Wielki Augur, Karol Irzykowski, oświadczył mi niedawno, że w teatrze obchodzi go nie teatr, ale literatura, problematy literackie, nie teatralne. Poco więc chodzi do teatru? Mógłby w wygodniejszym fotelu i w bardziej przewiewnej atmosferze czytać egzemplarze ajencji Rechtlebena. Możnaby też dla tego rodzaju daltonistów teatralnych—o ileby ich liczba okazała się większa—urządzić „przedstawienia" estradowe. To urzeczywistniałoby ideał, który Gide, a za nim Crémieux określa jako *théâtre pur*. Toby przedewszystkiem taniej kosztowało.

Skutki takiego stosunku do teatru są opłakane. Widz często nie reaguje na pełnię jego podniet estetycznych, nie znajduje w nim tej sumy doznania, jaką ma człowiek, nie tylko z przyrodzenia uczulony, ale i świadomy poezji, świadomy tajemnic jej działania, jaką ma słuchacz, który nie tylko słucha, ale i r o z u m i e muzykę, nie podlega jedynie pewnemu ciągowi mechanicznych podrażnień zmysłowych, ale ma wyobrażenie harmonji, kompozycji etc.

Mniej więcej to zagadnienie było już przed kilku laty przedmiotem polemiki między prof. Wł. Kozickim a młodym krytykiem Stef. Kawynem na łamach dziś zawieszonego *Słowa Polskiego*. Oczywiście w zgodzie z szczególną akustyką życia w Polsce nawet najdalsze jej echo nie odbiło się pod sklepieniem stołecznem. Cóż dobrego może być w Nazarecie?

Jeśli dobrze pamiętam, polemizujący zajmowali stanowiska krańcowo opozycyjne i jednostronne: jeden przypisywał ważność tylko elementowi widowiskowemu, drugi elementowi literackiemu w teatrze. Skiwski jest też w dwu trzecich swego artykułu zakłopotany problemem interpretacji literackiej. I on zdaje się — *sit venia verbo*—po katolicku parcelować teatr na duszę (dramat), której zbawienie jest przedmiotem drażliwości jego sumienia, i na ciało (teatr „sam w sobie"), od którego się odżegnuje.

Tu już trzebaby stwierdzić rzeczy banalne na temat wagnerowskiej „syntezy sztuk" w teatrze. Zapewne, minęły mocno pomylone pomysły, zelanckie obserwowanie i forsowanie owego syntetyzmu. Gide w *Journal des Faux-Monnayeurs* opowiada np., że podczas przedstawienia *Pieśni nad pieśniami* w „Théâtre des Arts" rozpylano na sali perfumy, niby w tym celu, aby dopełnić asocjacji różnorodnych doznań zmysłowych. Dziś reteatralizacja teatru jest faktem dokonanym. Nie narusza go nawet wtargnięcie na scenę dydaktyki społecznej, jak to się dzieje w Rosji.

Wbrew temu Skiwski teatrologowi czy teatrologicznemu punktowi widzenia odmawia racji bytu. Cóżbyśmy powiedzieli, gdyby ktoś zabierał się do krytyki powojennej poezji francuskiej, lub polskiej, nie wiedząc nic o Rimbaudzie i dokonanej przez niego rewolucji słowa poetyckiego? A przecież zdarza się, że recenzent przychodząc na widowisko monumentalne Schillera nie wie nic o Craigu i o jego rewolucyjnym nawrocie do „starego", pierwotnego, prawdziwego teatru. Oczywiście w następstwie nie widzi niczego, nie potrafi niczego widzowi wyjaśnić, nakierować jego wyobraźni.

Mamy prawo przypuszczać, że inaczej wyglądałaby pozycja teatru, gdybyśmy doprowadzili do tego, aby na temat tak pasjonujący, jak Schillerowski neorealizm (—niech mi pan wybaczy „termin", panie Leonie—) zaczęto rozmawiać w towarzystwie, choćby w towarzystwie augurów. Rozprawiało się przecież przed laty—coprawda z winy krytyki w sposób niedość istotny—o ekstrawagancjach futurystycznych. Wkońcu rozmawia się dziś o t. zw. poezji awangardowej.

Zagadnienie roli społecznej sprawozdania teatralnego ma jeszcze jedną stronę. Skiwski zaprzątnięty swemi niepokojami, widzi tylko „publiczność". Zapomina o drugiej publiczności—o ludziach teatru, którzy go czytują daleko skwapliwiej, odczuwają nieporównanie głębiej. I żądają—więcej. Przecież i recenzja z książki służy nietylko czytelnikowi, ale i jej autorowi. Pomijam względy tak ważne, jak próżność osobista; któż jest od niej wolny, kto mniej, niż aktor? Idzie tu o potrzebę zobaczenia się zzewnątrz, jakby zobjektywizowania się. Wiadomo, że recenzje—jak to brzmi!—czytał nawet Wyspiański, jeden z najosobliwszych ostrowidzów i—głuszców sztuki, suwerenów stanowiących nieodwołalnie o sobie. Żeromski je odchorowywał i składał w teczki.

Reżyser, dla którego—jeśli jest uczciwy i odpowiedzialny—przebicie się przez tekst jest prawdziwą walką Jakóba z Aniołem, chce wiedzieć czy i o ile jego ujęcie jest trafne, czy i o ile powzięta koncepcja narzuca się wrażliwości odbiorcy, a forma sceniczna przystaje do wizji. Także chce się zobaczyć zzewnątrz i zweryfikować. Szkoda, że Skiwski wydany na łup swoim niedostatecznym skrupułom nie może przeczytać referatów z recenzyj, jakie przygotowują słuchacze wydziału reżyserskiego w Państw. Instytucie Sztuki Teatralnej. Wyczytałby z nich wołanie o autentyczną krytykę teatralną: pełną, kompetentną, objektywną.

Tymczasem jej niema. Więcej, Skiwski twierdzi, że jej nie potrzeba. Nie dziw, że w zakresie oceny czysto teatrologicznej, krytyki formalnej widowiska panuje nonszalancja i szablon. Zbywanie reżyserji i interpretacji aktorskiej komunałem i ogólnikiem jest jeszcze usprawiedliwione w perjodykach, które szczędzą (czy słusznie?) miejsca na sprawy teatru. Żadną miarą nie usprawiedliwia się w dzienniku, gdzie recenzent rozporządza feljetonem. Jest w tej końcowej, ze zwyczaju, części recenzji, trzeba to przyznać, pewna trudność i szczególna—że użyję słowa Skiwskiego—„pokusa" doześlizgiwania się w utartą koleinę (mówię bom smutny i sam pełen winy). Stan. Lempicki wydobył niedawno z satyrycznego pisma *Liberum veto* (1903) taki katechizm „sztamp" krytycznych p. t. *Mały Prokesch albo vade mecum dla recenzentów teatralnych*. Nazywa się tak od niezapomnianego Prokescha z krakowskiej *Nowej Reformy*, który popełnił arcygaffę, gaffę-monstrum, gaffę-rekord, stwierdzając, że *Wesele* kończy się—„wesołym oberkiem". Cytuję z niego kilka pytań i odpowiedzi ku przestrodze:

„*P:* Jak gra swą rolę pierwszy amant?—*O:* Z temperamentem (albo: z dużym nakładem pracy; z dużym zapałem; rzetelnie).

P: Jak gra rolę heroina?—*O:* Z wdziękiem; prostotą (albo dla odmiany: z klasyczną prostotą; z wstrząsającym tragizmem; sumiennie; wybornie; porywająco; z artystyczną miarą; bez zarzutu i t. d.).

P: Co wywołuje komik charakterystyczny?—*O:* Salwy śmiechu.

P: Co robią inni aktorzy?—*O:* Dźwigają role z heroizmem, czynią godne uznania wysiłki; dają kilka momentów silnych, wzruszających, uwydatniają dobrze rozterkę duchową; cieniują rolę z artystyczną miarą; tworzą kreacje wprost klasyczne; ratują sztukę; grają z werwą i t. d.

P: Jaka jest reżyserja?—*O:* Staranna, pomysłowa.

P: Jakie dekoracje?—*O:* Wspaniałe." i t. d.

Śmiem przypuścić, że podjęcie rozmowy na temat krytyki teatralnej może być użyteczne. Może wynieść na światło sprawę, która istotnie waży na rozwoju teatru: na tem czy i jak spełnia on swoją rolę społeczną.

TYMON TERLECKI

M U Z Y K A

FILHARMONJA WARSZAWSKA: Trzy piątkowe koncerty symfoniczne z dn. 8.II, 15.II i 22.II. Jascha Horenstein (dyrekcja), Beveridge Webster (fortepian). Wielki festival ku uczczeniu 125 rocznicy urodzin Fryderyka Chopina.

Trzy ostatnie wieczory piątkowe Filharmonji Warszawskiej, jedynego właściwie wielkiego ośrodka koncertowego w Polsce, odznaczyły się ciekawym i bardzo szerokim w skali historycznej doborem dzieł muzycznych oraz dobrem, chwilami znakomitem, wykonaniem. Händel *(Concerto grosso G-moll)*, Mozart (symfonja *G-moll)*, Beethoven (V symfonja, koncert fortepianowy *G-dur*, uwertura *Prometeusz)*, Chopin (wszystkie utwory z towarzyszeniem orkiestry), Debussy *(Popołudnie fauna)*, Dukas *(Uczeń czarnoksiężnika)*, Morawski (*Nevermore)* i *Szymanowski* (IV symfonja) — to zgórą dwieście lat dziejów muzyki w skrócie. Od klarownego, symetrycznego stylu muzyki klasycznej, deformowanego przez wewnętrzną dynamikę natchnionej „ideologji" Beethovena, przez niesłychanie świeży wytrysk chopinowskiego źródła, członami pośredniemi dochodzimy do muzyki najnowszej. Szymanowskiego symfonja IV operuje już masą brzmień instrumentalnych, muzyczną plamą barwną, ale i skomplikowaną linijnością splotów polifonicznych; jest atonalna i polirytmiczna. Nie wchodząc w to, czy taki rozległy dobór utworów był dziełem przypadku, czy przemyślaną linją programową, stwierdzić trzeba jego niezwykle pożyteczną i pocieszającą wartość dla kształtowania się głębszej kultury muzycznej konsumującego słuchacza. Każdy koncert, w przeciwieństwie do przedstawień teatralnych np., jest w sobie zamkniętą „premjerą", sprzyja szczególnie rozwijaniu się wrażliwości na stronę wykonawczą, wytwarza szybko kult (dochodzący nieraz do snobizmu) wirtuozerji, adorowanie „gwiazd" światowej sławy, połączone z nieświadomem przeważnie lekceważeniem samego dzieła. Publiczność warszawska, szczególniej te jej sfery, które w jakiśkolwiek sposób związane są bliżej z estradą i pokojem artystów, ma daleko zaawansowaną predylekcję w tym wąskim kierunku. Otóż możność wysłuchania w stosunkowo krótkim okresie czasu tak różnorodnych dzieł, nietylko ze względu na indywidualność twórców, ale i epokę, siłą rzeczy zmusza do porównań, zestawień, do działania, obok uczuciowej kontemplacji, intelektu, utrwalającego historyczne myślenie o muzyce. W omawianym wypadku narzucała się doświadczeniu słuchacza, niezależnie od jego wiedzy podręcznikowej, olbrzymia skala rozwoju najmłodszej ze sztuk, jaką jest przecież muzyka instrumentalna. Z jednej strony „młodzieńcza" żywotność, prostota i naiwność (Händel, Mozart), z drugiej — skomplikowanie środków, sięgające krańca możliwości rozwojowych, groźba przekwitu i rozkładu, któremu podlec musi każdy dojrzały owoc (Szymanowski). Ten bolesny sceptycyzm, nasuwający się często, gdy słuchamy najnowszej muzyki, stanowi psychologiczne wytłumaczenie nawrotu do dawnej muzyki. Ale możność bezpośrednich, doświadczalnych zestawień, jak w danym wypadku, napawa nieoczekiwaną, radosną otuchą. Przyzwyczajeni i często znużeni skomplikowaniem muzyki dzisiejszej, nastawiamy się uprzejmie na klarowną prostotę muzyki klasycznej, ze zdumieniem jednak musimy skonstatować jej złożoność i niebywałe wyrafinowanie. To nawyk pokoleń czyni ją nam tak, pozornie, łatwą i prostą. I odwrotnie, opanowanie wpływów nawyku na nasze doznania, pozwala nam ujrzeć klarowną prostotę symfonji Szymanowskiego, mimo kolosalnej różnicy w doborze środków ekspresyjnych.

W ten sposób utrwala się zasadnicze doświadczenie, znane już dawno na terenie starszych sztuk jak np. w poezji, że sztuce obce jest pojęcie postępu, a więc początku i krańca, wzrostu i rozkładu, bo przez nieustającą zmianę przelewa się ten sam substrat ludzkiego odczuwania i wytwarzania piękna.

Tego rodzaju refleksje w chwili kontemplowania muzyki możliwe są pod jednym warunkiem: gdy nie tylko ilość i jakość dzieł jest tak różnorodną, ale i gdy ich wykonanie stoi na odpowiednim poziomie. Dzieło muzyczne szczególnie bowiem zależne jest od wykonania. Gdy rzeźba, obraz lub katedra gotycka istnieją niezależnie od twórcy i widza, dzieło muzyczne poza duszą ludzką nie istnieje. Partytura—to tylko pewna ilość papieru, upstrzona fantastycznie czarnemi znakami. Więc wykonanie indywidualne lub zespołowe wydobywa dzieło muzyczne z tajemniczej nicości znaków, przywraca je za każdym razem do życia. I staje się ono takiem, jak je odtworzy wykonawca.

Z wykonawców dwóch pierwszych wieczorów piątkowych (8/II i 15/II) na czoło wysuwa się Jascha Horenstein. Jest to dyrygent raczej młody, ale posiadający duże doświadczenie i szeroką skalę inwencji odtwórczej, czego dowodem rejestr utworów wykonanych, od Händla, poprzez Mozarta, Beethovena, do Debussyego, Szymanowskiego i Prokofjewa. Panuje on nad orkiestrą, umie ją zespolić w jeden złożony instrument i tchnąć w nią żar swego uczucia. W odtwarzaniu jednak idzie raczej w kierunku doraźnych efektów, niż podporządkowania się wymowie samego dzieła. Stąd u niego nieco demonstracyjna dbałość o kontur, o wydobycie warstw instrumentalnych, kontrasty rytmiczne i dynamiczne; te ostatnie dość przykro wyłamywały się w pierwszych częściach symfonji Mozarta. Może winę tego ponosi i orkiestra, przyzwyczajona raczej do grubszego „rąbania", niż do subtelnej cyzelacji. Dość, że w pianissimach często słychać było przewagę głuchego chrobotu końskiego włosia i baranich kiszek zamiast dźwięku.

Przy całej swej efektownej impulsywności okazał się p. Horenstein doskonałym, dyskretnym akompanjatorem w koncercie *Es-dur* Beethovena. Partję fortepianową wykonał Beveridge Webster, Kanadyjczyk jak twierdzą ludzie świadomi rzeczy, najwybitniejszy pianista Ameryki Północnej. B. Webster nie zawiódł nadziei. Rozporządzając swobodnie jasną, „stalową" techniką swych palców, dał on przykład gry, w najlepszem tego słowa znaczeniu, bezosobowej, zrywającej z kaprysami indywidualności na rzecz wymowy samego dzieła. Dzięki takiej postawie koncert Beethovena rozbłysł całą pełnią swej struktury dźwiękowej, tchnął głębią uczucia i nastroju, przemawiał nieskażonym stylem.

Oddzielny ustęp należy się festivalowi, jaki dała Filharmonja Warszawska ku uczczeniu 125-ej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina. Chopin to nasza duma narodowa, z łaski losu podarowany skarb, oceniany od pierwszej chwili. Nasza twórczość muzyczna jednak nie potrafiła pójść drogą wskazaną przez genjusza. Huczne polonezy i melancholijne mazurki epigonów zniżyły lot wysokiej linji do prowincjonalnego poziomu. Dopiero w ostatnich czasach daje się zauważyć świadomy nawrót nie do stylu i środków ekspresji już przezwyciężonych, lecz do artystycznej idei wielkiego muzyka. Twórczym, oryginalnym przykładem nawiązania nici zerwanej jest IV symfonja Karola Szymanowskiego.

Program festivalu obejmował wszystkie utwory orkiestrowe Chopina, a więc: oba koncerty, warjacje na tematy z *Don Juana*, *Fantazję polską*, *Andante spianato* z polonezem *Es-dur* i *Rondo à la krakowiak*. W doborze programu przeświecała myśl trafna i praktyczna. Orkiestra filharmonijna wzięła z twórczości wielkiego pianisty to wszystko, co do niej należy. Ale i pod innym względem, i pod tym szczególnie, program był ciekawy. Wszystkie te utwory Chopina należą do „epoki warszawskiej" i prócz ogranych mocno koncertów, mało znane jeśli chodzi o estradę. To też nasz dostojny, a nieco spetryfikowany krąg znajomości Chopina odświeżył się i pogłębił. Wśród tych utworów „warszawskich" są pozycje młodzieńcze, pachnące jeszcze szkołą, z zarysowującym się dopiero lwim pazurem, ale i skończone, a jakby nieznane arcydzieła *(Andante spianato*, *Rondo à la krakowiak)*. Uderza ta równoczesność rzeczy przeciętnych i przerastających zwykłą miarę, rzucając światło na bezprzykładną samorodność genjuszu Chopina. Przebieg i wykonanie festivalu nie było jednolite. Polonez *A-dur* w wykonaniu orkiestry pod batutą Ozimińskiego, a nawet koncert *E-moll*, w wykonaniu p. Rabcewiczowej zapowiadały poprawną i dostojną „piłę" rocznicową. Już jednak J. Smidowicz w *Warjacjach* i *Fantazji* wprowadził żywy nerw, orzeźwił salę. Nastrój nie opadał. Podniósł go W. Łabuński doskonałem odegraniem *Andante spianato* i Poloneza *Es-dur*. Ale szczytowym momentem było niewątpliwie *Rondo à la krakowiak*, wykonane przez P. Lewieckiego. Artysta ten grał z całkowitą swobodą, z brawurą i polotem. Nie czuło się zamiarów i intencyj wykonawcy, zespalały się one ściśle z dziełem, którego cała finezja i koronkowość zajaśniały w pełnym blasku. B. Kon, nie obniżając nastroju i wysokiego poziomu artyzmu wykonania, zamknął ten doskonały wieczór odegraniem koncertu *F-moll*.

Chopin był i pozostanie chyba unikatem. Na gruncie polskim wzrósł i trwał przez długie lata jak tajemniczy kwiat na jałowej pustyni. Ale piątkowy festival jest jeszcze jednym dowodem, że w dzisiejszych czasach kultura muzyczna w Polsce wzrosła i na tyle pogłębiła się, że stać nas na oprawę nie urągającą wielkości genjalnego twórcy.

ST. FURMANIK

Ośrodek współpracy i przyjaźni francusko-polskiej

INSTYTUT FRANCUSKI W WARSZAWIE

Założony w roku 1924 Instytut Francuski ma już za sobą tradycję dziesięcioletniego istnienia, ściśle związanego z życiem umysłowem stolicy. Zarówno Polacy jak i Francuzi, którzy stworzyli Instytut, ożywieni byli wspólnem gorącem pragnieniem powołania do działania placówki stałej współpracy intelektualnej między zaprzyjaźnionemi krajami. Placówka taka istnieje oddawna w Paryżu: jest nią słynna Bibljoteka Polska na Quai d'Orléans, mająca już swoją piękną historję. W Warszawie działalność Instytutu polega przedewszystkiem na propagowaniu kultury francuskiej oraz na udostępnieniu Francuzom studjów poważnych, długoletnich, opartych na znajomości języka polskiego.

Ubiegłe dziesięciolecie dało już poważne wyniki w obydwu tych dziedzinach.

Propagowanie kultury francuskiej nabrało szczególnego znaczenia z chwilą, kiedy młodzież polska walcząca z ciężkiemi warunkami życia współczesnego, przestała wyjeżdżać na dłuższe studja zagranicę, będące zresztą kosztownym zbytkiem wobec możliwości kształcenia się na uniwersytetach polskich, stojących na bardzo wysokim poziomie. Instytut Francuski, będący filją Sorbony, jest żywym przedstawicielem nauki francuskiej pragnącej współpracować z nauką polską; współpraca ta wyraża się przedewszystkiem w życzliwej przyjaźni łączącej Instytut z Uniwersytetem Warszawskim oraz w pokaźnej liczbie studentów uzupełniających swe studja polskie pracą w Instytucie Francuskim.

Na początku swego istnienia Instytut posiadał tylko trzy katedry: literatury, historji i geografji; powodzenie wykładów wpłynęło na powiększenie ilości katedr; dziś jest ich ogółem sześć, gdyż stworzono jeszcze katedry historji sztuki, filologji, historji cywilizacji francuskiej, oraz seminarjum prawa i praktyczne ćwiczenia języka francuskiego. Program ten uzupełniono nadto cyklem wykładów prowadzonych przez Polaków, profesorów Uniwersytetu Warszawskiego. W roku bieżącym profesorowie Oskar Halecki i Marceli Handelsman rozpatrują zagadnienie stosunków francusko-polskich na tle poszczególnych okresów historji, a prof. Władysław Tatarkiewicz zajmuje się ewolucją filozofji francuskiej w ogólnym zarysie.

Jeśli do tego dodać liczne odczyty wygłaszane przez prelegentów przybyłych z Francji, to otrzymamy pełny obraz żywej działalności Instytutu w tej dziedzinie.

Słuchacze Instytutu mają prawo zdawania egzaminów, które po pierwszym roku studjów stanowią *Certificat d'Etudes Françaises* a po ukończeniu Instytutu (minimum okres 3-letni) *Diplôme de Civilisation Française*. Pomimo dużych wymagań, stawianych kandydatom, ilość zdających stale się powiększa, podobnie wzrasta liczba słuchaczy, których jest w tym roku przeszło osiemset. Ogromną ich większość stanowią studenci wyższych szkół akademickich w Warszawie, nie brak także nauczycieli szkół średnich oraz przedstawicieli wszystkich sfer inteligencji pociągniętych możliwością słuchania wykładów francuskich oraz korzystania z bogatej bibljoteki, liczącej obecnie około 15 tysięcy tomów. Program wykładów obliczono na wszelkie zainteresowania i nie unikano bynajmniej kontrastów; tak więc nazwiska Gide, Mauriac i Valéry sąsiadują z nazwiskami Ronsard i Corneille; profesor historji sztuki zajmuje się źródłami sztuki współczesnej równolegle z historją katedr romańskich, każdy ze specjalistów usiłuje połączyć wymagania ściśle naukowe z naturalną ciekawością kulturalnej publiczności.

Wysiłek ten został uwieńczony pełnem powodzeniem: Instytut wyrobił sobie w życiu intelektualnem Warszawy opinję wybitnego ośrodka wyższych studjów francuskich.

Była to pierwsza część zadania, które mu powierzono.

Pozostała jeszcze część druga, równie ważna.

Polacy mają często rację, skoro zarzucają swym przyjaciołom Francuzom zbyt powierzchowne sądy o wszystkiem co polskie. Nie jest to, oczywiście, wynikiem złej woli lecz poprostu nieświadomości. Oprócz kilku wybitnych wyjątków, nieliczni są Francuzi znający na tyle język polski, by zrozumieć ducha literatury i życia polskiego. Instytut Francuski pragnie przedewszystkiem wypełnić tę lukę tworząc grupę młodych uczonych, przybyłych do Polski w podwójnym celu: zaznajomienia Polaków z cywilizacją francuską oraz gruntownego poznania kultury polskiej. Po przygotowaniu pierwszej części powierzonego im zadania we Francji, profesorowie Instytutu poświęcili swój pobyt w Polsce nauce języka, uzupełnionej licznemi wycieczkami po całym kraju i stałem dążeniem do zbadania życia polskiego

we wszystkich jego objawach. Długi pobyt w Polsce nauczył ich oceniać olbrzymi wysiłek odrodzeniowy, dokonywający się w ich oczach; znajomość wybitnych ludzi i pięknych kątów tak mało przez nich znanego kraju zrobiła z nich żarliwych przyjaciół Polski. W zamian za braterskie serdeczne przyjęcie, którego tu doznali, odwdzięczą się oni po powrocie do kraju sławieniem imienia polskiego. Nie będzie to błyskotliwa propaganda dziennikarsko-polityczna lecz skromna, a rzetelna praca erudytów. Pierwszym wyrazem tej pracy jest ufundowanie przez Instytut wydawnictwa naukowego poświęconego pracom nad Polską. Pierwszym numerem tej publikacji jest teza doktorska prof. J. Langlade, wice-dyrektora Instytutu, p. t. *Jean Kochanowski*; drugiem będzie studjum prof. Tadeusza Szydłowskiego poświęcone Witowi Stwoszowi i poprzedzone dłuższą przedmową profesora Instytutu Francuskiego, p. Piotra Francastela; w tej samej kolekcji ukażą się także dalsze prace profesorów Instytutu, poświęcone historji literatury, geografji lub filologji polskiej.

Świeżo wyszła z druku w pięknem francuskiem wydaniu *Arts et paysages* książka prof. P. Francastela *La Pologne pittoresque*, której piękne fotografje zostały w części zebrane przez autora i jego towarzyszy w ciągu licznych wycieczek po całej Polsce.

Po tem wszystkiem należy się spodziewać, że działalność w ten sposób rozpoczęta będzie się nadal pomyślnie rozwijała: największem bowiem życzeniem Instytutu jest osiągnięcie jaknajżywszego kontaktu między nauką polską i francuską, co się miarowo realizuje.

W wykonaniu tego ważnego zadania Instytut jest popierany przez rząd polski, który dał mu cenny dowód uznania, powierzając mu lokal w Pałacu Staszica, w bezpośredniem zaszczytnem sąsiedztwie Towarzystwa Naukowego, Kasy Mianowskiego oraz szeregu instytucyj naukowych. W ten sposób siedziba Instytutu łączy go równocześnie z piękną przeszłością nauki polskiej i najnowocześniejszemi jej zdobyczami...

W takiej atmosferze Instytut nie znajduje żadnych przeszkód w swym rozwoju.

Jego obecnym dyrektorem jest p. Henryk Mazeaud, następca pierwszego dyrektora Instytutu, p. Pawła Feyela; p. Mazeaud jest równocześnie profesorem prawa cywilnego na uniwersytetach w Lille i w Warszawie; pomimo młodego jeszcze wieku jest on jednym z najwybitniejszych prawników francuskich, a ostatnie lata pobytu w Warszawie uczyniły zeń wypróbowanego rzecznika zbliżenia intelektualnego obydwu krajów.

Pod jego wpływem Instytut Francuski łączy się coraz ściślej ze współczesnem życiem polskiem, a tem samem nadaje przyjaźni francusko-polskiej postać realną i trwałą.

JEAN FABRE

K R O N I K A

ROZDRAŻNIENIE

System podatkowy należy naturalnie zmienić, skoro sam minister skarbu jest tego zdania. Powinno się to stać nietylko z powodów praktycznych ale jeszcze psychologicznych. Względy psychologiczne są bodaj ważniejsze od tamtych: żadna reforma podatkowa nie zwolni obywateli od samego płacenia, ale ogłoszenie reformy i wprowadzenie jej w życie usunie na jakiś czas jeden z objawów tego szczególniejszego rozdrażnienia, które w ostatnich czasach ogarnęło społeczeństwo. Już nietylko na łamach prasy opozycyjnej, ale i w dziennikach i czasopismach prorządowych odbywa się jakiś wyścig narzekania i wymyślania na system podatkowy i wszystkie jego formy, jakby prasie chodziło o najszersze uwzględnienie protestów czytelnika-klienta, a jemu samemu o posiadanie najlepszego na świecie systemu pobierania daniny podatkowej. Tymczasem rzeczywistość nie ulegnie większej zmianie, bo istota rzeczy będzie ta sama, podatki zostaną podatkami i nikt nie wykrzesze z człowieka entuzjazmu dla nich. I zawsze będzie jak w rodzinie, w której wreszcie brakło pieniędzy: papa z gniewem stwierdza, że gospodarstwo kosztuje za dużo, mama zauważa, że wychodzi za wiele masła i cukru oraz że kucharka jest marnotrawna, wreszcie dzieci, ograniczone w swojem kieszonkowem, mają pretensję do mamy i do taty. A wszyscy zaczynają być rozdrażnieni i wzajemnie na siebie źli. System podatkowy czyli ściślej jego przedstawiciele narażają się nam podobnie jak tata nie mający pieniędzy — mamie, nie otrzymującej ich na gospodarstwo, jak rodzice — dzieciom, a kucharka — całemu domowi.

To jest zaledwie jeden przykład powszechnego dzisiaj rozdrażnienia. Analogicznym objawem jest rozdrażnienie przeciw biurokracji. Rozdrażnienie wybucha, gdy w prasie zaczyna się dyskusja, że właściwie najlepiej powodzi się urzędnikom, za których gotowi bylibyśmy doniedawna cierpieć, ilekroć zanosiło się na obniżkę ich płac, a którym dziś zazdrości się małej choćby ale stałej pensji i emerytury. W czasach pomyślności gospodarczej irytację budziła porastająca w pierze wieś, obecnie ciężka sytuacja wsi powoduje rozdrażnienie, że mogło tam dojść do takiej klęski. Gniewamy się na ubezpieczenia, gniewamy również, że mogą istnieć bezrobotni, czyli bezradni i niezaopatrzeni.

Ekonomiści potrafią nam to wszystko mądrze wytłumaczyć, politycy i dziennikarze dowiodą bez szczególniejszego trudu jakie błędy popełniają ministrowie i ich resorty, ale to całkiem inna sprawa. Chodzi o zjawisko, które z pewnością różni się od t. zw. niezadowolenia, nie oznacza opozycji wobec rządu, nie ma nic wspólnego ani z płodną ani nawet z bezpłodną krytyką. Możnaby je nazwać raczej powszechną utratą humoru, co jest tem dotkliwszem nieszczęściem, że spotyka naród, wstydzący się śmiechu, nie posiadający jak wiadomo ani jednego prawdziwie humorystycznego pisma, w konsekwencji więc skazany na przeżywanie kryzysu w najcięższych warunkach moralnych. Przewidywać zatem należy, że poprawa samopoczucia następować będzie powoli. Po ulepszeniu systemu podatkowego cud się jeszcze nie stanie, po przesileniu na wsi drażnić nas jeszcze będą biurokraci, po skasowaniu ubezpieczeń zawołamy o ubezpieczenia. A przez cały ten czas będziemy podrażnieni aż do owego słonecznego dnia, w którym deszcz będzie lał obficie, ale nagle tata przyniesie do domu dużo gotówki; wtedy mama będzie szczęśliwa i nawet na nowo zakochana, a kucharka okaże się znowu ideałem kucharek, smacznie robiących zakupy.

*

PRAWO WYBORCZE DLA KOBIET I DZIECI

W krajach, gdzie kobiety mają prawo głosowania do parlamentu i prawo biernego wyboru, niema już z tego tytułu żadnych poważniejszych problemów. Inaczej jest we Francji, która co pewien czas wznawia szlachetny zamiar równouprawnienia politycznego kobiet, przeprowadza na ten temat dyskusję powszechną, organizuje orjentacyjne plebiscyty i — nie może się zdecydować. Trzebaby zaś zdecydować się na to, że kobiety przy urnach wyborczych — to na jakiś czas przynajmniej zmierzch lewicowości parlamentu, to może zupełne przeobrażenie oblicza politycznego kraju. Tak na tę sprawę patrzy obóz radykalny. Natomiast żywioły zachowawcze i umiarkowanie-republikańskie zaczynają zgłaszać apetyty przerastające nawet obawy i przewidywania lewicy. Żądają mianowicie dodatkowych praw wyborczych dla ojców rodzin a nawet jeszcze więcej, bo dla dzieci. Każdy ojciec powinien mieć oprócz swojego głosu tyle głosów ile ma nieletnich dzieci. Autor tej propozycji p. Charles Richet powołuje się w tym celu na Lamartine'a oraz na wyjątkowe zasługi francuskich ojców. Są to mianowicie ludzie, „którzy nie wahali się dać ojczyźnie obywateli"—pisze w *Matin*. Nie to jest jednak ważne, co ofiarni ojcowie mieli innego zrobić z urodzonemi dziećmi, ale fakt, że każdy obywatel powinien być realnie równy wobec prawa, a zatem móc głosować; że zaś dzieci nie mogą, więc wyręczy je ojciec.

Nie nasza rzecz wtrącać się do wewnętrznych spraw francuskich i wątpliwości na tem miejscu wypowiadane zapewne nie dotrą do publicysty francuskiego; nasuwa się jednak zasadnicze pytanie: Jeżeli sami ojcowie, głosując bez żon, robili parlamenty radykalno-socjalistyczne, to jakie będą robili, głosując nawet obok żon, ale rozporządzając jeszcze głosami niewiniątek? Czy nie zawahają się uszanować woli maluczkich i ich przekonań politycznych?

STANISŁAW ROGOŻ

*

PROFESOR B. HROZNY

Na zaproszenie Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego przyjechał z Pragi znakomity orjentalista prof. B. Hrozny i wygłosił w dn. 27 i 28 lutego wykłady p. t. *O językach i ludach hetyckich* oraz *Przez Azję Mniejszą w poszukiwaniu hieroglifów hetyckich*, obficie ilustrowane oryginalnemi przezroczami.

Profesor Bedrzich Hrozny (ur. w r. 1879) jest jednym z najznakomitszych przedstawicieli współczesnej nauki czeskiej i zajmuje przodujące miejsce wśród badaczy języków i kultur starożytnego Wschodu. Już w początkowym okresie swej działalności naukowej na Uniwersytecie Wiedeńskim zwrócił na siebie uwagę świata naukowego dwiema doskonałemi monografjami asyrjologicznemi. Jedna z nich p. t. *Sumerisch-babylonische Mythen von dem Gotte Ninrag*, wydana w r. 1903 w Lipsku, stanowi poważny przyczynek do poznania wierzeń ludów starożytnej Mezopotamji. Druga zaś, publikowana w r. 1914 przez Akademję Nauk w Wiedniu, p. t. *Das Getreide im alten Babylonien*, stanowi obszerne i źródłowe opracowanie mało przedtem zbadanych zagadnień, związanych z rolnictwem Babilonji, odgrywającem w życiu tego kraju tak wielką rolę. To też, gdy w r. 1913 zmarł słynny asyrjolog berliński Hugo Winckler, nie zawahano się powierzyć prof. Hroznemu odcyfrowania tabliczek klinowych hetyckich, wydobytych przez Wincklera z ruin prastarej stolicy państwa hetyckiego w pobliżu Boghazköy w Azji Mniejszej.

Wyniki badań prof. Hroznego nie dały długo na siebie czekać. Odczyt, który wygłosił w grudniu 1915 r. w *Deutsche Orient-Gesellschaft* w Berlinie, obwieścił światu naukowemu, że tajemnica tekstów hetyckich została wreszcie wydarta. Z genjalną wprost intuicją wdarł się prof. Hrozny w gąszcz pisma i języka hetyckiego, wykazał indoeuropejski pod względem budowy gramatycznej charakter mowy władców Anatolji w II tys. przed Chr., określił jej indoeuropejskie elementy leksykalne i dał pierwsze próbki tłumaczeń. Wślad za tem poszły dwie fundamentalne prace, p. t. *Die Sprache der Hethiter, ihr Bau und ihre Zugehörigkeit zum indogermanischen Stammbaum* oraz *Hethitische Texte aus Boghazköy*, napisane przez autora już w czasie służby w wojsku austrjackiem, a wydane w Lipsku w r. 1917 i 1919. Obie te prace stanowią epokę w badaniach nad przeszłością Azji Mniejszej, inaugurując nową dyscyplinę orjentalistyczną — hetytologję, za której założyciela mamy prawo uważać prof. Hroznego. Nowe, nieoczekiwane zupełnie światło padło na okres dziejów Azji Mniejszej, znany przedtem jedynie ze strzępków tradycji historycznej ludów ościennych. I jeżeli dzisiaj możemy badać przeszłość, kulturę i języki szczepów Anatolji w III i II tys. przed Chr. z ich własnych dokumentów piśmiennych, to jest w tem przedewszystkiem zasługa wiekopomnego czynu naukowego prof. Hroznego.

Po odzyskaniu niepodległości przez Czechosłowację prof. Hrozny przenosi się na Uniwersytet Karola w Pradze i tam rozwija owocną działalność nad rozbudową orjentalistyki w swej ojczyźnie. Przy jego wydatnej inicjatywie powstaje w r. 1928 w Pradze *Orientalni Ustav* — Czechosłowacki Instytut Orjentalistyczny, który skupia uczonych-orjentalistów czeskich. Od r. 1929 wychodzi pod redakcją prof. Hroznego organ tego Instytutu — *Archiv Orientalni*, który w krótkim czasie stał się jednem z czołowych czasopism orjentalistycznych i odgrywa znaczną rolę w międzynarodowym ruchu naukowym.

Jednocześnie pracuje prof. Hrozny z wielką energją nad językiem i przeszłością Hetytów. Wydaje teksty, publikuje mnóstwo rozpraw, z których każda zawiera jakieś nowe wyniki i stawia świeże zagadnienia. W r. 1924 i 1925 odbywa dłuższą podróż badawczą po Syrji, północnej Mezopotamji i Azji Mniejszej, kopie na obszarze mandatu francuskiego w Szeich Sa'ad i w Tell Arfad, a w centralnej Anatolji na Kültepe koło Kayseri. Wyniki wykopalisk w Kültepe dały archeologji i historji Azji Mniejszej cenne niezmiernie zdobycze. Pozwoliły one stwierdzić miejsce pochodzenia specjalnego gatunku tekstów klinowych, zwanych „tabliczkami kapadockiemi", które są dokumentami handlowemi i prawnemi kupców asyryjskich, osiadłych w miastach nad Halisem w końcu III tys. przed Chr. Badania prof. Hroznego wykazały, że główna faktorja Asyryjczyków znajdowała się w mieście Kanes, którego pozostałości ukrywa właśnie kopiec Kültepe.

W ostatnich latach zwrócił się prof. Hrozny ku innemu niezmiernie doniosłemu zagadnieniu dziejów Azji Mniejszej. Od kilkudziesięciu lat znamy z jej obszaru sporo napisów w piśmie obrazkowem, zwanem potocznie „hieroglifami hetyckiemi", umieszczonych na skałach i zabytkach sztuki. Słusznie przypisywano napisom owym specjalne znaczenie, jakkolwiek wszelkie próby ich odcyfrowania były bezowocne. Dopiero badania prof. Hroznego, zawarte w jego dziele p. t. *Les inscriptions hieroglyphiques hittites*, wydanem w r. 1933-34 w Pradze, przyniosły pożądane rozstrzygnięcie. Okazuje się w świetle tych badań, których znaczenie jest dla nauki wprost rewelacyjne, że napisy te należą do ludu indoeuropejskiego, spokrewnionego z Hetytami, który objął po nich w końcu II tys. przed Chr. dziedzictwo polityczne zrazu w południowo-zachodniej części płaskowyżu centralnego Anatolji. Jest zasługą prof. Hroznego, że pierwszy rozświetlił tajemnice tego skomplikowanego systemu pisma w należyty sposób i określił charakter i stanowisko lingwistyczne świeżego elementu indoeuropejskiego w Azji Mniejszej. Dla zebrania i opracowania napisów hieroglificznych hetyckich przedsięwziął prof. Hrozny w r. 1934 podróż naukową po Syrji i Anatolji, której wyniki przedstawił w jednym ze swych wykładów warszawskich.

S. PRZEWORSKI

N A D E S Ł A N E

Komitet Propagandy Czynu Polskiego wydaje z racji obchodu imienin I Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego Księgę Pamiątkową, poświęconą Jego czci.

Książka ta ukaże się 10 marca b. r. i będzie bogata w materjał literacki i ilustracyjny. Na jej treść złożą się artykuły, wiersze i aforyzmy najwybitniejszych pisarzy polskich, jak również członków Rządu, Generalicji i Duchowieństwa. Wielopolska, Karol Irzykowski, Ks. Biskup Józef Gawlina, Biskup Szelążek i wielu innych oddaje hołd Wodzowi Narodu, kreśląc wspomnienia osobiste o Marszałku Piłsudskim.

Książka ta jest w swoim rodzaju rewelacyjnym dokumentem historycznym. Nabyć ją można w Komitecie Propagandy Czynu Polskiego, Warszawa, ul. Świętokrzyska 9, tel. 640-04.

Cena egzemplarza 5 złotych.

Zamówienia na większą ilość należy kierować do Komitetu Propagandy Czynu Polskiego.

Książki nadesłane do Redakcji

POWIEŚĆ

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA: *18 Spotkań*. Lwów—Warszawa (1935). Książnica-Atlas.

TECHNIKA I HANDEL

J. BOROWIK i B. NAGÓRSKI (redaktorzy): *Organizacja portów morskich. Ze szczególnem uwzględnieniem Gdyni i Gdańska*. Praca zbiorowa, zawierająca rozprawy: B. Nagórskiego, B. Dobrzyckiego, W. Fałatowicza, A. Marchwińskiego, B. Koselnika, S. Łęgowskiego, K. Jeziorańskiego. Toruń 1934. Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego.

RZEMIOSŁA

ST. STEFAŃSKI: *Co i jak zrobić ze słomy oraz materjałów podobnych*. Ostroróg 1934.

VARIA

Pamięci Juljana Husarskiego 6.X.1878—4.VII. 1930. Wydawnictwo Komitetu uczczenia ś. p. inżyniera górniczego Juljana Husarskiego. Warszawa 1935.

Wspomnienie o Leonie Lichtensteinie oraz spis jego prac naukowych. Warszawa 1935. Osobne odbicie z t. XXXVIII *Wiadomości Matematycznych*.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.